

Ewa Barańska

**TAJEMNICA
STAREGO ZEGARA**

OSTATNI DZIEŃ WAKACJI.....	3
ZEZOWATA ŻABA	5
OLA KONTRA BANDA DŁUGIEGO ROBERTA	11
ZWYKŁA WYCIECZKA I CO Z NIEJ WYNIKŁO	19
HISTORIA HIERONIMA NOWOSIELSKIEGO.....	23
TAJNY KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW.....	26
WYPRAWA PO ZEGAR	29
PIERWSZE PRÓBY ODKRYCIA TAJEMNICY	37
NOWY SPADKOBIERCA RODZINNEGO SKARBU.....	39
PRZEGRYWAMY Z HIERONIMEM	41
POJAWIA SIĘ KONKURENCJA	43
ZOSTAJEMY DETEKTYWAMI	46
KORONKOWA INTRYGA.....	48
ZARZUCAMY SIEĆ	52
OLŚNIENIE I JEGO SKUTKI.....	56
ZOSTAJĘ SZLACHETNIE URODZONYM.....	61
KURATELA IMĆ PANA LIGĘZY	66
POD KOMENDĄ PANA WOLSKIEGO	72
PRAWDZIWA BITWA.....	76
W JASKINI ZŁA.....	79
BAL NA CZEŚĆ ZWYCIĘSTWA	82
PORWANIE	86
NOWE ZAGROŻENIE.....	92
WIDMO NOWEJ WOJNY	99
NOWY ABSZTYFIKANT OLI.....	103
NOWOSIELSKI KONTRA NOWOSIELSKI.....	107
UCIECZKA.....	113
EPILOG	121
K O N I E C.....	123

OSTATNI DZIEŃ WAKACJI

Nigdy nie przyszło mi do głowy, że wielka przygodę można przeżyć w wiosce tak małej, jak nasza Leśniówka. Są tu zaledwie cztery domy i mieszka w nich szesnaście osób. Prawdziwa wieś to Brzozowo. Jest tam poczta, sklep, przystanek autobusowy, szkoła podstawowa i gimnazjum, do którego chodzę. Ale po kolei. Zaczęło się całkiem niewinnie. W połowie sierpnia przyszedł list od rodziny z Warszawy. Mama przeczytawszy go powiedziała:

- Ela pisze, że wraz z mężem ma propozycję wyjazdu do Peru, ale czy pojedą, zależy od nas.

- Jakim cudem? - zdziwił się tata.

- Pytają, czy Ola mogłaby mieszkać u nas przez najbliższy rok.

- Oczywiście, że może - zdecydował ojciec bez zbędnej dyskusji.

Ciocia Ela i wujek Sławek są archeologami. Rzadko bywają w kraju, a jeszcze rzadziej odwiedzają nas. Jak sobie przypominam, za mojego życia byli u nas trzy, czy cztery razy. Tylko raz z Olą. Mieliśmy wtedy po pięć lat. Ola była gruba, niezdarna i bała się robaków, ja zaś chudy, sprytny, i bezkrytycznie odważny, toteż bawiłem się doskonale strasząc ją pajakami.

Myślałem wtedy sobie: No to co, że przybędzie w domu jeszcze jedna dziewczyna? Mam już siostrę, Marysię, teraz będę miał dwie. Niczego to nie zmieni, bo i tak przyjaźnię się z chłopakami. W Leśniówce jest nas pięciu: Wojtek, Michał, Maciek, Jurek i ja. Szczęśliwym trafem mamy po tyle samo lat, tylko Maciek o rok mniej. Tego dnia siedzieliśmy sobie na płocie i próbowaliśmy wymyślić coś ekstra. Był to akurat nie tylko ostatni dzień wakacji, ale na dodatek niedziela. Wtedy z za zakrętu wyjechał samochód z warszawską rejestracją. Chwilę później zatrzymał się koło mojego domu. Wsiadł z niego wujek Sławek i sama Ola.

- Poczekajcie, zaraz wrócę - rzuciłem chłopakom i ruszyłem w kierunku gości. Jeżeli chodzi o Olę, nic nie pozostało z niezdarnej grubaski, jaką pamiętałem. Wyrosła z niej całkiem fajna dziewczyna. Jak na dziewczynę oczywiście. Przywitałem się, pomogłem pownosić bagaże i wróciłem do kumpli.

- Szkoda, że to nie chłopak – stwierdził z żalem Maciek.

Też tak uważałem, lecz nie wypadało mi krytycznie wyrażać się o kuzynce. Wzruszyłem tylko ramionami, zaś Maciek ciągnął dalej:

- Dziewczyny w ogóle są nieznośnym towarzystwem, a warszawianki na dodatek zadzierają nosa.

- Skąd wiesz? – moim zdaniem do tego nie trzeba było być z Warszawy.

- Każdy to wie – wyjaśnił, jakby opinia bliżej nieokreślonego ogółu była argumentem nie do podważenia.

- Wszystko okaże się w praniu, na razie jest nudno jak w rodzinnym grobowcu i czuję, że do wieczora tak pozostanie – podsumował filozoficznie Michał. Niestety, miał rację.

Następnego dnia Ola pierwszy raz poszła z nami do szkoły. Dyrektor, pan Kajetan, nazywany przez nas za plecami Kajtkiem, zwyczajowo zrobił na podwórku uroczysty apel, żeby nam powiedzieć to, co mówił zawsze na rozpoczęcie szkolnego roku.

Wszyscy patrzyli na Olę. Nasza szkoła jest nieduża, toteż każda nowa twarz od razu zwraca uwagę. Poza tym Ola była inna niż tutejsze dziewczęta, chociaż, dając słowo, nie mam pojęcia, na czym ta inność polegała.

Potem rozeszliśmy się do swoich klas. Zawsze siedziałem z Wojtkiem, a Michał z Jurkiem, teraz wynikła niezręczna sytuacja, bo Ola spytała, czy usiądę z nią w jednej ławce.

- U nas dziewczyny nie siedzą z chłopcami – próbowałem się wykręcić, ale tak, żeby jej nie urazić.

- Jeżeli nie chcesz, przysiądę się do kogoś innego – była wyraźnie zawiedziona.

Wolałbym, aby tak było, jednak głośno powiedziałem:

- Coś ty, po prostu złamiemy tradycję.

Zresztą, nie miałem innego wyjścia, bo wszyscy już podobierali się w pary i pozajmowali miejsca. Nawet Wojtek widząc, że tkwię przy Oli, usiadł z Krzyśkiem Stankiem. Dla nas została ostatnia ławka. Nie było odwrotu.

ZEZOWATA ŻABA

Gdy chodzi o drogę do i ze szkoły, obecność Oli absolutnie skomplikowała nasze dotychczasowe zwyczaje. Wcześniej szliśmy całą paczką, opowiadaliśmy sobie dowcipy, ścigaliśmy się albo graliśmy w specjalną odmianę kopanego, do którego sami wymyśliśmy zasady. Marysią nikt się nie przejmował, tylko ja przez cały czas miałem na nią oko, żeby gdzieś po drodze nie zginęła, bo ojciec chyba obdarłby mnie ze skóry. Teraz wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Maciek nadal uważał, że Ola jest zarozumiała, a reszta chłopaków bezkrytycznie podzielała tę opinię i chyba z tego powodu trzymała się od niej z daleka. Przez to znalazłem się między młotem a kowadłem, bo mogłem albo dołączyć do kolegów, albo dotrzymywać towarzystwa dziewczętom. Oczywiście weselej było z kumplami, lecz z Olą i siedziałem w jednej ławce, i mieszkalem w jednym domu, więc częściej niżbym chciał, jak to ironicznie określił Michał, robiłem za bawidamka.

Sytuacja uległa zmianie po miesiącu i to właśnie przez Michała. Michał ma bardzo pogodną naturę i może dlatego lubi rozśmieszać klasę. Ale nie zawsze na tym dobrze wychodzi. Tak było i tym razem.

Biologii uczy nas pan, który najzwyczajniej na świecie nazywa się Jan Kowalski, ale my mówimy na niego Turkuć Podjadek. Nie potrafię dociec dlaczego, gdyż z wyglądu bardziej przypominał wielkiego chrabąszcza. Ale tak się utarło i już.

Turkuć uwielbiał osobliwości przyrodnicze, i jeśli ktoś przyniósł na lekcję biologii jakąś jaszczurkę z dwoma ogonami albo innego dziwoląga, wtedy dostawał plusik. Trzy plusiki dawały piątkę.

Czasem okazji nie można było przynieść, bo na przykład był białym krukiem, siedział na drzewie i nie dał się złapać, wtedy pan robił wykład, dlaczego kruki bywają białe, chociaż normalnie są czarne. Za takie informacje dostawało się kropkę,

a z kolei za trzy kropki - krzyżyk. W tej sytuacji jasne było, że każdy próbował wypatrzeć coś, na czym można by zarobić przynajmniej kropkę. Tego dnia Beata Smolarek pochwaliła się, że widziała czarnego bociana.

- Całego czarnego? – spytał Turkuć.

- No nie, brzuch miał biały. Ale tylko brzuch – zapewniła.

- To chyba *ciconia nigro*, albo inaczej *hajstra*. Bardzo rzadki ptak, i chroniony.

Gdzie go widziałaś?

- W Sanoku, byłam tam u cioci.

Turkuć Podjadek podparł brodę i pewnie się zastanawiał, czy czarny bocian wart jest kropki, wtedy jak filip¹ z konopi wyskoczył Michał:

- A ja widziałem zezowatą żabę – powiedział, a klasa ryknęła śmiechem.

- Co widziałeś? – Podniesiona brew i ton głosu nauczyciela nie wróżyły nic dobrego, lecz Michał jakby tego nie zauważył i brnął dalej.

- Słowo daję, siedzi u nas na podwórku.

- Na podwórku? – Zdziwienie Turkucia sięgało zenitu.

- No jasne! Pewnie przez tego zeza nie może trafić do stawu.

Wszyscy roześmiali się jeszcze głośniejsze, tylko nauczyciel nie okazywał objawów dobrego humoru.

- Słuchaj Krzeszowski - rzekł do Michała, gdy już wszyscy umilkli. - Albo przyniesiesz na następną lekcję tę zezowatą żabę, albo pała i przyjdiesz z rodzicami. Klasa znów się rozchichotała, jedynie Michałowi zrzędła mina. Nie stracił jednak nadziei.

Odtąd codziennie chodził ze słoikiem po mokradłach i łapał żaby. Ale niestety, żadna nie miała defektu oczu.

Czas uciekał, a biedny Michał bezskutecznie łamał sobie głowę, jak wybrnąć z tego impasu. Wreszcie zdał się na nas.

- Słowo daję, jeżeli ktoś mi pomoże, dostanie... zegarek z kalkulatorkiem – obiecał.

- Zrób tak, jak Majowie, dla których zez był oznaką wytworności, więc żeby mieć efektownego zeza nosili pomiędzy oczami paciorek - poradził mu Wojtek.

- Powiedz jeszcze w jaki sposób zmusić żabę do noszenia jakiegoś idiotycznego paciorka? – Tego jednak Wojtek nie wiedział. Zresztą, budowa anatomiczna wszelkich płazów absolutnie wyklucza taką możliwość.

Tego dnia wracałem ze szkoły razem z Olą i Marysią. Chłopcy szli za nami nie więcej niż dziesięć kroków, więc doskonale słyszeliśmy całą rozmowę. W pewnej chwili Ola przystanęła i zwróciła się do Michała:

- Mam pomysł jak wybrnąć z tej sytuacji, ale nie chcę zegarka.

- Dam wszystko, co zechcesz – uderzył się w piersi.

- Na razie niczego nie potrzebuję, ale przysięgnij, że spełnisz jedną moją prośbę.

- Każdą!

- Mur beton?

- Mur beton! – przyrzekł uroczyście.

- Nie mówiłeś Podjadkowi, że to żywa żaba?

- No nie.

- Za Brzozowym Laskiem mieszka garncarz?

- No tak.

- Więc zamów u niego żabę z gliny. Zezowatą rzecz jasna.

Michał z wrażenia aż przystanął. Chwilę trwał z otwartymi ustami, po czym wybuchnął niepohamowanym śmiechem. My też. Uznaliśmy, że pomysł jest doskonały.

Jeszcze tego samego dnia poszliśmy całą ferajną za Brzozowy Lasek do pana Grasika, bo tak się nazywał ów mistrz garncarski. Swoje garnki wyrabiał w szopie, wypalał w specjalnym piecu, zaś gotowe składował w stodole. W każdy piątek jechał z nimi do miasta. Musiał jeszcze znajdować amatorów glinianych doniczek, dzbanów i mis, skoro nie opuszczał żadnego jarmarku.

Pan Grasik siedział właśnie przy kole garncarskim napędzanym własną nogą, a w jego rękach miękka glina, niby za sprawą czarów, przekształcała się w całkiem zgrabny talerz. Powiedzieliśmy dzień dobry i czekaliśmy aż skończy.

- Dzień dobry. Czego chcecie dzieciaki? – spytał nie odrywając się od pracy.

¹ Filip – gwarowo „zajac”. Wyrwał się jak filip z konopi „odezwał się nie w porę, powiedział coś

- Przyszliśmy złożyć zamówienie – powiedział poważnie Michał.

- Co to ma być?

- Pomoc naukowa – wyrwała się Ola. Pewnie w ostatniej chwili przyszedł jej ten pomysł do głowy, bo wcześniej nic takiego z nami nie ustalała. – Będzie stać w szkole na honorowym miejscu – dodała jeszcze, aby pozytywnie nastawić pana Grasiaka.

- Pomoc? Kto dziś potrzebuje glinianych pomocy? Chyba, że uczycie się o garncarstwie. Idźcie do stodoły i wybierzcie sobie, co chcecie.

- Ależ nie, to ma być zamówienie ekstra – zawołaliśmy chórem.

Pan Grasiak milczał. Wyglądał jakby całą uwagę poświęcił temu, co właśnie robi. Ostatecznie uformował talerz i zatrzymawszy koło, cienkim drutem odciął go od podstawy, następnie wstawił do pieca obok innych naczyń przygotowanych do wypalenia. Dopiero wtedy zwrócił się do nas.

- Więc, co to ma być?

- Żaba.

- Żaba? – pewnie pomyślał, że się przesłyszał.

- Tak, żaba, robota dla prawdziwego artysty – Ola podsyciała w nim ambicje twórcze.

- Nie wiem czy potrafię. Robię raczej rzeczy użytkowe...

- Na pewno pan potrafi. Bo jak nie pan, to kto? Ludzie mówią, że ma pan niezwykle zdolności – cukrzyła mu dalej.

- Ja cię chyba nie znam – zreflektował się nagle pan Grasiak.

- Nie, przyjechałam z Warszawy. Jestem kuzynką Marysi i Adasia.

- A! Pewnie córka Elżbiety? Ech! To była dziewczyna!- Zawołał dziarsko, po czym chrząknął z zakłopotaniem i powrócił do tematu. – A co do żaby, zastanowię się.

- Oj panie Grasiak, żaba ma być na wtorek – jęknął Michał.

Pan Grasiak zapominając, że ma ręce całe w glinie, przez chwilę w zamyśleniu drapał się po głowie. Wreszcie rzekł:

- No dobrze, jak ona ma wyglądać?

niewłaściwego”.

- Wszystko jedno, byle miała zeza - Michałowi z radości jakby odebrało rozum.

- Zeza? Żaba z zezem? - Pan Grasik nie posiadał się z oburzenia.

- Tak, pan Tur... to znaczy pan Kowalski... ten tego ... zagroził... jak nie przyniosę... no... tą zezowatą...- płatał się nieszczęśnik.

- Za zeza płacimy dodatkowo - próbowała go skusić Ola, lecz nie знаła pana Grasika, który zawsze z dumą powtarzał, że jest ostatnim mistrzem w swoim fachu i nigdy nie puści żadnej fuszerki.

Widziałem jak Michał markotnieje. Zrobiło mi się go żal, więc pomyślałem, że się nic nie stanie, jeżeli do dotychczasowych kłamstw, dorzucę jeszcze jedno. W końcu drobne „rozminięcie się z prawdą” w szlachetnym celu, nie jest przestępstwem, a ratowanie przyjaciela od pały, to przecież cel jak najbardziej szczytny.

- Ta żaba musi być z zezem, bo nie jest to zwykła polska żaba, którą doskonale zna każdy uczeń. Takiej żaby, rzecz jasna, nie trzeba przedstawiać w postaci pracy naukowej. Chodzi o polinezyjską żabę amfibilika polinesa, która siedzi w głębokiej trawie i łapie muchy przelatujące górą. Stąd właśnie w drodze ewolucji wykształcił jej się taki układ oczu.

Ten argument przekonał pana Grasika, lecz jak to bywa u solidnych fachowców, natychmiast pojawiły się następne wątpliwości.

- Nie znam się na egzotycznych płazach - wzruszył ramionami.

- Szczęśliwie ta amfibilika jest dokładnie taka sama, jak nasza rzekotka - łągałem dalej.

- Znaczą się ropucha? - upewnił się.

- Tak, tylko większa i zielona...

- I ma na grzbiecie ciemniejszą pręgę - dorzuciła jeszcze jeden szczegół Ola.

W końcu pan Grasik dał się przekonać i obiecał wykonać zamówienie w terminie.

Nie mogliśmy się doczekać wtorku. A kiedy już wreszcie nadszedł, poszliśmy do szkoły pół godziny wcześniej niż zwykle. Michał niósł swój „okaz” grubo owinięty papierem i obwiązany sznurkiem. W klasie postawił go pod ławką. Kilka osób zapytało Michała o zezowatą żabę, ale Michał dawał tylko wykrętne odpowiedzi. My solidarnie też nabraliśmy wody w usta i tylko spoglądaliśmy na siebie porozumiewawczo krztuszając się ze śmiechu. Nikt oczywiście nie zwrócił uwagi na tobolek pod ławką.

Wreszcie nadeszła lekcja biologii. Pan Kowalski wszedł do klasy, przeczytał obecność, po czym zajrzał do swoich notatek w zeszytach.

- Więc cóż mamy dzisiaj do załatwienia? - Mruczał wodząc palcem po zapiskach. - Aha! Krzeszowski... No pokaż tę zezowatą żabę.

Michał podniósł się wolno.

- Widzę, że nie jesteś przygotowany - Turkuć zbyt pochopnie wyciągnął wniosek.

- Ja... ja... - Michał ze zdenerwowania zaczął się jąkać.

- No to pała i... - długopis Turkucia groźnie zawisł nad dziennikiem, ale nagle Michała odblokowało.

- Ja już pokazuję! - zawołał.

- Tak? Więc pokaż - zaproponował ironicznie Turkuć nawet nie zmieniając pozycji.

Michał ostrożnie postawił pakunek na stole i powoli go rozpakowywał. Wszyscy patrzyli w milczeniu, tylko my, dzieci z Lesniówki ledwo powstrzymywaliśmy śmiech.

Wrażenie, jakie zrobiło dzieło pana Grasika, przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Kiedy wreszcie ze stert papieru wyłonił się stwór o barwie wiosennej trawy, z seledynowym brzuchem, turkusową pręgą na plecach i nieprawdopodobnym zezem wyłupiastych oczu, a do tego, dla podkreślenia artystycznego charakteru dzieła, przystrojony białą margerytką, - widok był tak komiczny, że nikt nie mógł zachować powagi. Nawet nauczyciel.

Klasa zrywała boki, a Tomek Cichocki dostał takiego ataku, że spadł z ławki i turlał się po podłodze. Wreszcie Turkuć uciszył nas i powiedział:

- Zręcznie z tego wybrnąłeś Krzeszowski. Chociaż nie uważam, iż jest to osobliwość przyrodnicza, nie postawię ci jedyńki.

Przez kilka dni nie mówiło się w szkole o niczym innym, jak o fortelu Michała. Ola ani jednym słowem nie zdradziła, że to ona jest autorką pomysłu i życzliwie patrzyła, jak Michał zbiera wyrazy uznania. Tylko do mnie powiedziała:

- Zawarliśmy umowę. Czas zapłaty dopiero przyjdzie, zobaczymy, kto ubił lepszy interes.

OLA KONTRA BANDA DŁUGIEGO ROBERTA

Ola z dnia na dzień stała się najlepszą uczennicą. Jediną osobą, która mogła z nią konkurować, była Sylwia Skorek, no i może jeszcze Krzysiek Dobosz. Reszta nie dorastała jej do pięt. Nie mówiąc o mnie.

Siedzenie w jednej ławce z prymusem przynosi ewidentne korzyści, zwłaszcza na klasówkach. Ola zawsze coś podpowiedziała lub podsunęła ściągę, przez co moja średnia ocen wyraźnie poszła w górę. Poza tym, nie chcąc uchodzić w jej oczach za skończonego matoła, więcej przykładałem się do nauki. Ale nie o tym chciałem opowiadać.

Nie wszyscy akceptowali to, że siedzę z Olą jak i samą Olę. Długi Robert, facet nie dość że zakręcony jak słoik na zimę, to jako uczeń zdecydowanie przeterminowany, był postrachem całej szkoły. Nie przepuścił żadnej okazji, aby każdemu dopiec do żywego. Nikt jednak nie miał odwagi, żeby się mu postawić. Ja również. Kiedyś przechodząc obok naszej ławki wrzasnął:

- Narzeczona i narzeczony łapie myszy za ogony

Było to idiotyczne, ale ten osiłek miał intelekt odwrotnie proporcjonalny do krzepy. Jego żarty były równie toporne, jak on sam.

- Wyrażaj się gramatycznie – odpaliła Ola. – Powinno być „łapią myszy za ogony”. Liczba mnoga.

- E, ty warszawianka, nie bądź taka przemądrzała – burknął.

- Bo co?

- No no, nie podskakuj... - krzywy uśmiech Roberta nie wróżył niczego dobrego.

- Odczep się od niej - zawołałem ryzykując bęcki.

- Patrzcie, rycerz, broni honoru swojej damy! Gramatycznie powiedziane panno Mądralińska?

- Gramatycznie, ale głupio. W ogóle wszystko, co mówisz, jest beznadziejne. Byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś jak najczęściej milczał - ku mojej rozpaczy Ola lekkomyślnie dolewała oliwy do ognia.

- Dam ci dobrą radę mała. Jeżeli nie chcesz abym przetrzepał twoje śliczne fatałaszki, siedź cicho. Kumasza?

- O proszę! Nie dość, że głupek to jeszcze babski bokser. Spróbuj mnie tknąć końcem palca, a pożałujesz.

- Ha! ha! ha! Ciekawe, co mi zrobisz? - zarechotał, aż zadrżały szyby.

- Spróbuj, a zobaczysz! - zagroziła.

Nie domyślałem się, co ma na myśli, w każdym bądź razie pogrożki Roberta nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Nie zauważyłem w jej oczach ani cienia strachu. Wyraźnie zbity z pantofelku Robert wrzasnął tylko ramionami i powiedział bez sensu:

- Pani z miasta głowa z ciasta - po czym odszedł.

Od tego czasu często demonstrował swoją niechęć nie tylko do Oli, ale do wszystkich z Leśniówki. Nie posuwał się jednak do bezpośredniego ataku. Do czasu. Pewnego razu ledwo weszliśmy do klasy, Robert wrzasnął na całe gardło:

- Wszystkie półgłówki są z Leśniówki.

Udaliśmy, że tego nie słyszymy, ale Długi Robert nie zamierzał na tym poprzestać. Podeszedł do nas i powiedział:

- Od jutra za prawo nauki w tej szkole, będziecie płacić. Dycha tygodniowo od każdego. Zrozumiano?

- Kupiłeś tę szkołę? - spytała ironicznie Ola.

- Nie twój interes. Macie płacić i już. Wszyscy załapali?

- Wypchaj się.

- Jutro forsa.

- Masz stary szczęście, że głupota nie śmierdzi, zakasowałbyś wszystkie skunksy.

- No, nie podskakuj...

Robert nie omieszkał na następnej przerwie postraszyć również Marysi i Maćka. Jeszcze, gdy wychodziliśmy po lekcjach, krzyknął za nami:

- Ej wy! Tylko nie zapomnijcie, co wam kazałem!

Najbardziej była przestraszona Marysia.

- Czuję, że jutro będę chora i nie pójdę do szkoły – stwierdziła smutno w drodze do domu.

- Jak długo masz zamiar chorować? – Zainteresowała się Ola, a z jej tonu wynikało, że wie w czym rzecz.

- Boję się tego chuligana Roberta. Wszyscy się go boją – wyznała szczerze.

- Nie wszyscy. Ja na przykład się nie boję. A ty Adaś?

- Też nie – odpowiedziałem zuchwale, chociaż wcale nie odpowiadało to prawdzie.

- No widzisz? Przesadzasz wyrażając się w opinii ogółu.

- Adaś się przechwala, a ty tak mówisz, bo nie wiesz, jaki on jest.

Po raz pierwszy czułem wdzięczność do siostry, że nie ukrywa strachu. Mówiła to, co ja tylko myślałem, pozostali chyba też. Zresztą, chwilę potem moje przypuszczenia potwierdził Michał.

- Sądzę, że nie ma co się stawiać. Może spróbujemy się jakoś dogadać z Robertem?

- Chcesz się układać z tym łobuzem? – Ola zrobiła wielkie oczy.

- A mamy inne wyjście?

- No jasne. Zignorować go.

- Problem w tym, czy on zechce zignorować nas. Z nim naprawdę nie ma żartów, tym bardziej, że nie działa sam.

- Wielkie rzeczy! Banda Roberta liczy razem z nim cztery osoby. Nas jest siedmioro.

- W tym dwie dziewczyny, a wiadomo, dziewczyny nie są żadną siłą bojową.

- Nie możemy pozwolić się terroryzować – zawołała.

Milczeliśmy. W zasadzie Ola miała rację, lecz sama racja nie wystarczała. Należało jeszcze mieć siłę. Szliśmy przez dłuższą chwilę w milczeniu.

- Michał, czy pamiętasz tę historię z zezowatą żabą? – niespodziewanie zmieniła temat Ola.

- Pamiętam, ale co ma żaba do naszego problemu?

- A ma. Przysiękłeś wtedy, że spełnisz każde moje życzenie. Teraz zobaczymy, czy jesteś człowiekiem honoru. Staniesz na czele opozycji wobec Długiego Roberta. Jednym słowem, w tej walce masz być naszym przywódcą.

Ta propozycja wydała mi się całkiem niedorzeczna. Michał jest z tych, którzy nie potrafią skrzywdzić nawet muchy. Wesoły, pogodny, skłonny do psikusów, ale do bijatyk? Nigdy! Lepszy byłby Wojtek, albo Jurek, albo nawet Maciek.

- Dlaczego ja? Poza tym przywódca powinien być wybrany demokratycznie – próbował się wykręcić.

- No dobrze – Ola przystała, a my razem z nią. – Robimy wybory. Proponuję Michała. Jest wysoki, silny, a poza tym, pomogliśmy mu uniknąć pały z biologii. Pokazaliśmy, że nie zawiedliśmy go w potrzebie. Teraz ma szansę pokazać, że my na niego też możemy liczyć. Jestem za. Czy są jakieś inne propozycje?

Dla mnie nie miało znaczenia, kto będzie nam przewodził. Michał czy Wojtek, czy ktoś inny, i tak staliśmy na przegranej pozycji. Pierwszy podniosłem rękę. W moje ślady poszedł Wojtek, Jurek i, z ociąganiem, Marysia. Tylko Maciek się wstrzymał od głosowania. Mieliśmy większość, Michał został wybrany.

- To manipulacja – próbował unieważnić wybór, ale nikt go nie słuchał.

Następnego dnia w drzwiach klasy czekał na nas Długi Robert ze swoimi kumplami.

- Forsa! – Wyciągnął znaczącym gestem rękę.

- Spadaj głupku – odpowiedziała Ola, która akurat szła pierwsza.

- Te, Mądralińska, nie podskakuj – przybrał groźną minę Robert.

- Powiedziałam spadaj – nie ustępowała Ola.

- He! he! he! Ciekawe co mi zrobisz? - drwił.

- A to! – Ola wymierzyła mu kopniaka. Musiała trafić w wyjątkowo czułe miejsce, bo ten wrzasnął, złapał się za kostkę i skacząc na jednej nodze dotarł do

swojej ławki. Podwinął nogawkę i zaczął rozcierać bolące miejsce. Klął przy tym tak, że nie sposób tego powtórzyć. My tymczasem usiedliśmy na swoich miejscach.

Wyczyn Oli bardzo poruszył klasę. Dotąd nie zdarzyło się, ażeby ktoś tak się postawił szkolnemu prześladowcy. A nikomu już nie przyszło do głowy, że na coś takiego mogłaby porwać się dziewczyna. Nikt jednak nie miał odwagi głośno tego komentować.

Jeżeli o mnie chodzi, to powiem szczerze, nabrałem pewności siebie. Skoro delikatna osóbką zmusiła do rejterady² takiego osiłka, więc ja, dość solidnie zbudowany, nie byłem bez szans.

Na razie reakcja Oli zdezorientowała Roberta. Nie tylko napotkał opór, ale na dodatek oberwał kopniaka. I to od dziewczyny. Przypuszczałem, że Robert nie puści tego płazem. Doliczyłem się przynajmniej dwóch powodów. Po pierwsze, jest przekonany, że i tak ma nad nami przewagę; po drugie, zechce udowodnić, że wszelkie protesty nie mają sensu.

Miałem rację. Już na następnej przerwie Robert podszedł do naszej ławki i powiedział:

- Zapamiętaj Mądralińska, drugi raz taki numer ci nie przejdzie. Jutro albo forsa, albo spuszczę wam manto.

- Prędzej ugryziesz się w prawą piętę przez lewe ramię, niż zobaczysz naszą forszę..

- Patrzcie, ta Mądralińska nie trybi, o co biega – zwrócił się do swoich kumpli stojących za nim jak straż tylnia.

- Zostaw ją – włączyłem się do tej nieprzyjemnej wymiany słów.

Wyszedłem z ławki i stanąłem przed Robertem zasłaniając sobą Olę. Spojrzałem po klasie. Wszyscy patrzyli w naszą stronę, tylko Michał siedział odwrócony plecami.

- No gdzie się pchasz – Robert pchnął mnie z całych sił. Nie wiem jakim cudem ustałem na nogach, bo drab miał siłę słonia.

W tym momencie zadzwonił dzwonek i do klasy weszła Babcia, pani od polskiego. Odkąd pamiętam, zawsze stawała w drzwiach równo z dzwonkiem. To mnie uratowało, ale nie na długo. Na odchodnym, Robert zdążył jeszcze zasyczeć:

² Rejterada – odwrót wojska, ucieczka.

- Po budzie się policzymy.

Najlepiej byłoby, gdyby Robert zapomniał o swoich pogroźkach, ale ten osioł nie miał głowy tylko do nauki. Ba! Był wyraźnie podniecony perspektywą³, jak to nazywał, wygarbowania nam skóry. Przez cały czas odwracał się posyłając nam wyzywające spojrzenia.

Kombinowałem, jak rozegrać to starcie. Liczyć mogłem tylko na Wojtka. Maciek skończył wcześniej lekcje i pewnie poszedł do domu, Michał był niepewny a Ola, jako dziewczyna, nie mogła być brana pod uwagę. Podobnie jak Marysia, która też kończyła lekcje wcześniej, ale miała na mnie poczekać przed szkołą.

Dwóch na jednego z tym, że sam Robert dałby radę trzem naraz. Już na starcie byliśmy przegrani. Ale cóż, honor wymagał przyjąć wyzwanie niezależnie od skutków.

Po ostatniej lekcji Robert ze swoimi kumplami wyszedł pospiesznie, my zbieraliśmy się dużo wolniej.

- No to na nas czas, chłopaki – powiedziała beztróska Ola.

„Doprawdy, czy ta dziewczyna traciła kiedykolwiek zimną krew?” – pomyślałem z mieszanymi uczuciami i spojrzałem na Michała. Wyglądał, jakby szedł na ścięcie, lecz moja przebojowa kuzyneczka jakby tego nie widziała. Rzuciła nawet beztróska w jego stronę:

- No, prowadź wodzu!

Michał bez słowa zarzucił plecak na ramię i krokiem skazańca ruszył ku wyjściu. My za nim.

Na korytarzu natknęliśmy się na Marysię i Maćka. Jakimś sposobem dotarła do nich wiadomość o szykującej się ustawce i postanowili zostać z nami.

Banda Roberta czekała na nas na placyku za szkolną bramą. Nie tylko ona. Spora grupa uczniów z różnych klas stała już tam w charakterze gapiów. Szliśmy równo nie zwalniając kroku. Zatrzymaliśmy się dopiero, gdy Robert zaszedł nam drogę. Wyglądaliśmy niczym siedmiu Dawidów przy Goliacie.

- No i co? – spytał z obrzydliwym szyderstwem.

- Pstro! – wyrwała się Marysia.

³ Perspektywa – pozorne zmniejszanie się przedmiotów w miarę odległości od oka, w przenośni: widoki na przyszłość.

- Więc, kto pierwszy? – spytał ignorując słowa mojej siostry.

- Sam wybieraj, jeśli tak strasznie rwiesz się do walki – powiedział Michał.

- Aleś wałną! Jak gołąb o parapet! – Robert wybuchnął śmiechem, za nim z wiernością echa jego kumple. Po dobrych pięciu minutach tego rechotu wskazał na Olę – Najchętniej przyleję tej Mądralińskiej.

- Chcesz się bić z dziewczyną? – Na wszelki wypadek wysunąłem się krok do przodu.

- Załatwię was po kolei – parsknął chełpliwie Robert zakasując demonstracyjnie rękawy.

- Nie ma sprawy, mogę być pierwsza – powiedziała Ola i stanęła przede mną.

- Nic z tego, ja tu dowodzę. Najpierw ja – Michał odsunął mnie i Olę do tyłu.

- Bardzo chce mi przyłożyć, niech przykład. Zobaczymy, ile są warte te pogróżki – Ola nie ustępowała

- Popatrzcie, jak rwą się do batów.

- Klóćmy się, kto ma tobie dać nauczkę, głąbie jeden – odpaliła Ola.

- Co? Miseroto, zaraz zrobię z ciebie wiatrak!

- Ty? – teraz Ola wybuchła śmiechem.

Dziwne, ta niemądra dyskusja trwała już dobre dziesięć minut, a nikt nie zaczynał bijatyki. Nie mogłem tego zrozumieć, przecież Robert bardzo chętnie puszczał w ruch pięści, i to tym chętniej, im słabszego napotkał przeciwnika. Tutaj, używając języka wojskowych, na razie walka ograniczała się do akcji zaczepnej. Nie miałem jednak wątpliwości, że wcześniej czy później, sprawa i tak będzie miała wiadomy finał, lecz najwyraźniej nie mam zadatków na proroka. A było to tak: Robert powiedział:

- No dość tej pyskówki, teraz... – zamiast dać swoim kumplom znak do ataku, chrząknął dziwnie i wyraźnie wymiękł.

- O co chodzi? – doleciało zza naszych pleców

Nie odwracając się poznałem głos wicedyrektora Hartmana. Byłem kompletnie zbity z tropu. Na moment zatkało mnie, lecz na szczęście Ola nie straciła głowy.

- Chłopcy mają do nas jakąś sprawę. Powiedz panu dyrektorowi, jaką? – zachęciła Roberta wymownym gestem do mówienia, jednak ten milczał jak śnięta ryba. Jego kumple również.

Nasz wicedyrektor nigdy nie krzyczał, a nawet mówił bardzo cicho i wolno, jednak wszyscy bali się go bardziej niż diabeł święconej wody. W swoim życiu nie poznałem nikogo wzbudzającego większy respekt.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, jak makiem zasiał. Robertowi rzecz jasna brakło odwagi do wyznania prawdy, reszta też trzymała języki za zębami, gdyż w naszej szkole skarżenie to obciach. Nawet wtedy, gdy wymaga tego dobro sprawy. Mam wątpliwości, czy tak jest dobrze, jednak sam nigdy nie złamałem tego obyczaju.

- Długość, Kopecki, Zelek i Bura chcę was widzieć jutro z samego rana w moim gabinecie. Proszę się rozejść.

Nie było nikogo, kto by zlekceważył polecenie. Ruszyliśmy w stronę Leśniówki. Grupa Długiego Roberta rozstąpiła się, aby nas przepuścić. Teraz my mogliśmy im posłać triumfujące spojrzenia, a mieliśmy do tego przynajmniej dwa powody. Po pierwsze - nie okazaliśmy lęku, po drugie - pokazaliśmy wszystkim, że na nich też jest sposób.

- Kiedy dyrektor Hartman na mnie patrzy, dostaję gęsiej skórki, lecz od dzisiaj go kocham - pierwsza przerwała milczenie Marysia, gdy już szkoła została daleko w tyle.

- Nie przypuszczałem, że ze starcia z nimi można wyjść bez żadnego siniaka - powiedział Michał.

Z nas wszystkich on chyba najbardziej odczuł ulgę z takiego właśnie obrotu sprawy. W moich oczach uchodził za bohatera. Nie stchórzył, chociaż był przekonany o totalnej porażce. Kto wie, czy tak właśnie było, lecz wierzyłem w to. Lubię Michała i nie chciałbym się na nim zawieść.

- Byłeś wspaniały jak Napoleon, kiedy stanąłeś naprzeciw tego nadętego bufona i powiedziałaś: "...ja tu dowodzę" - wyraziła swój podziw Marysia.

- Niewiele brakowało, a mielibyśmy swoje Waterloo⁴ – mruknął Michał, chociaż słowa Marysi sprawiły mu widoczną radość. Moja mała siostra nie zrozumiała aluzji i komplementowała go dalej.

- Ja, gdybym miała tak stać i patrzeć mu prosto w oczy, pewnie od razu bym uciekła.

- Przecież nie uciekłaś.

- Bo się schowałam za Wojtkiem i Maćkiem.

Poza Marysią nikt się nie przyznał, że odczuwał jakikolwiek strach.

- Jedno jest pewne – podsumowała Ola. – Za żadne skarby nie pozwolimy, aby jakiś przychlast terroryzował całą Leśniówkę. Te mięczaki z Brzozowa niech mu oddają swoje śniadania, płacą okup i schodzą z drogi, my na to nie pozwolimy. Prawda?

- No jasne potwierdziliśmy chórem, i w tej chwili naprawdę uwierzyliśmy, że tak będzie..

Po tej awanturze sprawa przycichła. Długi Robert, póki co, zostawił nas w spokoju, chociaż na każdym kroku demonstrował wrogość. Ale nie był to jedyny pożytek, jaki odnieśliśmy z tego starcia. Bo nie tylko nabraliśmy pewności siebie i zyskaliśmy poważanie wśród innych, ale na dodatek powstała między nami żywa więź, która uczyniła z nas naprawdę zgraną paczkę. I to było najważniejsze.

ZWYKŁA WYCIECZKA I CO Z NIEJ WYNIKŁO

Gdzieś w połowie października szkoła zorganizowała wycieczkę do Łańcuta. Nie będę opisywał wszystkiego, co wtedy zwiedziliśmy, gdyż mój długopis nie sprostałby takiemu zadaniu, napiszę tylko o tym, co dało początek tej nieprawdopodobnej przygodzie.

⁴ Waterloo – miasto w Belgii, miejsce klęski Napoleona w 1815 r.

Podzieleni na dwudziestoosobowe grupy, w dziesięciominutowych odstępach, posuwaliśmy się przez kolejne korytarze i salony łańcuckiego zamku. My, dzieci z Leśniówki, trzymaliśmy się razem. Tak więc w naszej grupie była Ola, Marysia, Wojtek Michał, Jurek Maciek i ja.

W pewnej chwili, gdy weszliśmy do długiego korytarza, pan przewodnik powiedział:

-To jest galeria portretów sarmackich⁵. Zwróćcie uwagę, iż portretowana szlachta zawsze lewą rękę wspiera na szabli, a prawą na biodrze. Taka była ówczesna maniera...⁶

Wtedy Marysia szepnęła mi do ucha:

- Adaś, przecież u naszego dziadziusia wisi podobny portret. Może jest równie drogocenny, jak te wszystkie tutaj?

- Jest trochę inny.

- Każdy jest trochę inny. Ciekawe ile może kosztować?

- Na pewno majątek – wtrącił Wojtek, który stał obok i słyszał słowa Marysi.

Moją siostrę mocno poruszył fakt, że w naszej małej Leśniówce, o do tego w rodzinie Nowosielskich, jest jakiś wartościowy obraz. Zaraz po powrocie z wycieczki, natychmiast pobiegła na zwiady.

Dziadek Eustachy, tata mojego taty, mieszka po sąsiedzku w starym domu. Nigdy nie chciał się przeprowadzić do nas, chociaż mamy obszerny dom, do którego bez trudu można by dokwaterować jeszcze trzech dziadków. Kiedy tylko ktoś zaczynał mówić o przeprowadzce, uparty staruszek powtarzał, że starych drzew się nie przesadza.

Rozumiem dziadka, bo jego domek jest prześliczny: drewniany, ze staroświeckim gankiem i zadbanym ogrodem. Wszystkie sprzęty w tym domu ze sto lat temu wyszły z mody, lecz mnie się podobają. Szczególnie rzeźbione szafy, stoły, krzesła i etażerki⁷, jakie można spotkać już tylko w muzeach.

⁵ Sarmatyzm – nazwa stosowana do kultury polskiej szlacheckiej w XVII i I połowie XVIII w.

⁶ Maniera – forma twórczości.

⁷ Etażerka – półki bez bocznych ścian.

W saloniku pomiędzy innymi obrazami i pożółkłymi fotografiami, wisiał szerniały portret Sarmaty⁸. Według rodzinnej tradycji był to nasz jakiś antenat⁹, ale, prawdę mówiąc, nigdy nie interesowało mnie, jaki.

Staliśmy z Ola i Wojtkiem przed furtką i rozmawialiśmy, kiedy przybiegła mocno podniecona Marysia.

- A mówiłam, że portret jest taki sam, chociaż trochę inny! – zawołała z daleka.

- Albo taki sam, albo inny? – parsknęła śmiechem Ola.

- Taki sam, tylko troszeczkę niepodobny. Zresztą, chodź i sama zobacz.

- No dobrze. Oglądnę to arcydzieło.

Znałem ten obraz dość dobrze i nie spodziewałem się żadnej rewelacji. Jeżeli nawet obraz posiadał jakąś wartość, to i tak był własnością dziadka. Wątpiłem, czy zechciałby go sprzedać. Mimo tego poszedłem razem z nimi. Wojtek też.

- O! Widzicie? – powiedziała triumfalnie Marysia, gdy już staliśmy pod portretem.

Szlachcic na portrecie, co prawda lewą rękę wspierał na szabli, ale prawą wskazywał coś do góry.

- Wygląda jakby się zgłaszał do odpowiedzi – zażartował Wojtek.

- Przecież on wyraźnie wskazuje na napis w rogu obrazu – zauważyła Ola.

- To jakieś hieroglify – Marysia była rozczarowana. – Tego się nie da przeczytać.

- Żadne hieroglify, tylko łacina Ola stanęła na stołku aby lepiej widzieć i wolno przeczytała. – Vici... chrono...veni... via... vide... reszta nie do odszyfrowania.

Rzuciliśmy się do słowników i po kilku godzinach wiedzieliśmy, że vici znaczy zwyciężyłem, chrono – czas, veni – poszedłem albo idę, via to droga, a vide – patrzeć.

- Pierwsze zdanie: "zwyciężyłem czas", ma sens, jednak nie wiadomo, co znaczy. Na pewno jest to jakaś sentencja¹⁰ – powiedziałem.

- Aha, prawdopodobnie druga część napisu wszystko wyjaśnia – potwierdziła moje przypuszczenia Ola.

⁸ Sarmata – Polak starej daty.

⁹ Antenat – przodek rodziny.

¹⁰ Sentencja – krótkie, treściwe zdanie zawierające moralną myśl lub głęboką prawdę.

- Dalej jest: „...przeszedłem drogą i zobaczyłem...” Co można zobaczyć chodząc po drodze? – zastanawiała się głośno Marysia.

- „Droga” to chyba jakaś przenośnia. Poza tym może to być inny wyraz zaczynający się na „via” – stwierdziła Ola. – Najlepiej zapytajmy dziadka. Może w czasach jego młodości napis był wyraźniejszy i dziadek go zapamiętał?

Ta propozycja była najrozsądniejsza, toteż, kiedy chwilę później wrócił dziadek, od razu zasypaliśmy go gradem pytań. Powstał taki rejwach, że początkowo nie mógł zrozumieć, o co nam chodzi.

- Nie wszyscy razem! Mów ty – wskazał na mnie.

- Interesuje nas ten portret, a szczególnie napis w rogu... Chcemy się o nim czegoś dowiedzieć.

- A skąd to nagle zainteresowanie?

- Zwiedzaliśmy łańcucki zamek, tam widzieliśmy podobne obrazy i...

- ... i pomyśleliście, że ten jest równie cenny – w jego głosie zabrzmiała gorzka ironia. Popatrzyliśmy po sobie zmieszani. Nawet Marysia poczuła się nieswojo.

- Bez względu na wartość, chcemy poznać jego historię. Podobno przedstawia jakiegoś przodka rodu Nowosielskich – zręcznie wybrnęła z sytuacji Ola. – Chcemy dojść, dlaczego on, zamiast trzymać rękę na biodrze, wskazuje ten napis w rogu, i co ten napis znaczy.

Dziadek chrząknął z zakłopotaniem, jakby pożałował, że posądził nas o niskie pobudki działania.

- To Hieronim Nowosielski. Z nim związana jest pewna rodzinna legenda.

Legenda? W mojej, najzwyczajszej pod słońcem rodzinie istnieje jakaś tajemnicza legenda sięgająca zamierzchłych czasów? To niebywałe! Czy trzeba czegoś więcej, aby pobudzić ciekawość? Nie tylko moją zresztą.

- Dlaczego jej nigdy nam nie opowiedziałeś, dziadku? – spytała z wyrzutem Marysia.

- Nigdy dawne dzieje was nie interesowały, ale skoro chcecie, proszę bardzo. Rozsiedliśmy się wygodnie gdzie kto mógł, a dziadek zapalił fajeczkę i rozpoczął swoją opowieść.

HISTORIA HIERONIMA NOWOSIELSKIEGO

Według słów dziadka, brzmiała mniej więcej tak. Dawno, dawno temu, bo aż w 1710 roku, w Prochińcu, przyszedł na świat Hieronim Nowosielski. W młodości młody szlachcic niczym się nie wyróżniał wśród innych, szlachetnie urodzonych młodych ludzi. Wiódł hulaszczę życie, polował, ucztował i chętnie sięgał do szabli. Tak było aż do czasu, gdy w niewyjaśnionych okolicznościach zawarł pakt z diabłem. Odtąd w jego domu zaczęli się pokazywać dziwni ludzie. Bywało, że Hieronim zniknął na całe dni i nikt nie mógł go odnaleźć, chociaż służba nie widziała, aby gdziekolwiek wyjeżdżał. Mówiono nawet, iż od samego Belzebuba¹¹ dostał moc unoszenia się w powietrzu. Jednak najgorszą grozę wzbudzał fakt, że nie chciał poddać się egzorcyzmom¹². W końcu został przez biskupa obłożony klątwą. Nie ma wiarygodnych informacji o jego śmierci. Podobno miał być spalony na stosie, ale ogień się go nie miał. Spłonęły sznury, którymi był przywiązany do pala, a Hieronim drwiąc z sądu, kata i gapiów, zamienił się w kruka i odleciał nie wiadomo dokąd. Pewnie do piekła.

Inna, mniej fantastyczna wersja mówi, że nikt nie miał odwagi pojmać zbratanego z ciemnymi mocami Hieronima. On zaś, sporządziwszy testament, przepadł. Tym razem na zawsze. W testamencie był zawarty bardzo dziwny zapis: otóż jego portret i zegar, mają zawsze przechodzić na własność najstarszego syna aż do końca świata. I nigdy tych dwóch rzeczy nie wolno rozdzielić.

- To jest właśnie historia tego obrazu – skończył opowiadać dziadek.

- A gdzie jest zegar? – Zawołaliśmy chórem.

- Tak jak sobie życzył Hieronim, przez wszystkie pokolenia, zegar i obraz przekazywano testamentem najstarszemu synowi. Ale w 1922 roku przyszły na świat bliźniaki, mój nieżyjący już brat Stefan i ja. W swoim czasie nasz ojciec postanowił zegar dać bratu, a obraz mnie. Legenda mówi, że te dwie rzeczy kryją klucz do jakiejś wielkiej tajemnicy, lecz dotąd nikt nie wpadł na jej trop. I od dawna nikt nie szuka – dodał z westchnieniem.

- Czy dziadek wie, jakie są dalsze losy zegara? – spytałem.

¹¹ Belzebub – wódz złych duchów.

- Stefan zostawił go swojemu synowi, wujkowi Romanowi. Pewnie dalej wisi na honorowym miejscu. To bardzo piękny zegar.

Fajnie jest mieć taką legendę rodzinną. Pomyślałem, że któregoś dnia portret dostanie mój tata, a po nim ja.

Po wyjściu od dziadka zebraliśmy się w pokoju dziewcząt. Wtedy dołączył do nas Michał i Maciek. Opowiedzieliśmy jeszcze raz historię Hieronima.

- Dam sobie głowę obciąć, że nie był on żadnym czarownikiem, ani nie miał konszachtów¹³ z diabłem. Może robił coś wyjątkowego, a w tamtych czasach ludzie byli bardzo przesądni. Wszystko, czego nie rozumieli, przypisywali czarom – powiedział Michał, co miłe mnie połaskotało po sercu. W końcu mówił o moim przodku.

- No jasne, święta inkwizycja¹⁴ chciała usmażyć każdego, kto zbyt gorliwie eksperymentował z wiedzą. Nawet Kopernik ledwo wywinął się od stosu – poparł go Wojtek.

- Ciekawe, co zrobił Hieronim, że aż tak podpadł? – pytanie Marysi było czysto retoryczne¹⁵, bo przecież nikt z nas tego nie wiedział.

- Podobno unosił się w powietrzu. Może, jak Leonardo da Vinci, budował latające maszyny? – Przyszło mi na myśl.

- Odkrył tajemnicę produkcji złota! – Zawołał gwałtownie Maciek, jakby go niespodziewanie oświeciło. – Sami opowiadaliście, że zniknął i nikt go nie mógł odnaleźć, chociaż służba nie widziała, aby wyjeżdżał z domu. Mówię wam, on musiał mieć w lochu jakieś tajemne laboratorium.

- Coś ty, złota nie da się po prostu wyprodukować. Złoto jest pierwiastkiem – zwróciła mu uwagę Ola.

- Owszem, ale oni tego wtedy nie wiedzieli – obstawał przy swoim Maciek.

- Wszystko jedno, wiedzieli czy nie, złota wyprodukować nie mogli.

¹² Egzorcyzmy – wyganianie z człowieka czarta, oczyszczanie.

¹³ Konszachty – podejrzane stosunki.

¹⁴ Inkwizycja – instytucja założona przez papieżstwo w 1215 r. do wykrywania i sądzenia „heretyków”, oraz zwalczania ruchów antykościelnych.

¹⁵ Retoryczne – krasomówcze, „pytanie retoryczne” jest pytaniem, na które nie oczekuje się odpowiedzi.

- Mimo tego jestem przekonany, że chodzi o jakiś skarb. Ukrył go gdzieś, a informację zaszyfrował. Przecież groził mu stos, a jak wiadomo, Kościół odbierał majątki heretyków¹⁶. Każdy w takiej sytuacji starałby się zabezpieczyć byt swojej rodzinie. A jak to miał zrobić?

To, co sugerował Maciek, nie było pozbawione sensu. Przecież dziadek mówił o dziwnym zapisie w testamencie. Wspominał też o jakiejś wielkiej tajemnicy, do której przez całe pokolenia nikt nie mógł odnaleźć klucza.

- Myślisz, że ten napis na obrazie jest zaszyfrowaną informacją o skarbie? - Marysia aż podskoczyła z wrażenia.

No jasne! Może „vide chrono” na obrazie znaczy „patrz zegar”. Na przykład po rosyjsku na „zegar” mówi się „czasy”.

- To jest pisane łaciną a nie cyrylicą¹⁷ - przypomniała Ola.

- No dobra. Ale gdyby po polsku ktoś powiedział „czasomierz”, każdy by wiedział w czym rzecz. Hieronim dla utrudnienia napisał po łacinie, aby wskazać na zegar.

- W takim razie co znaczy „vici”? Zwyciężyłem zegar? - wysunął swoje wątpliwości Wojtek. - To bez sensu.

- Chyba, że ten Hieronim, jak Don Kichot, zamiast z wiatrakami, walczył z zegarami - zażartował Michał, dla którego najwyraźniej dyskusja była zbyt poważna.

- Napis jest niekompletny. Może napis brzmiał: „patrz na zegar, a zwyciężysz”? W domyśle: wygrasz fortunę. Z pewnością słowo „via”, czyli „droga”, też ma jakieś uzasadnienie. Prawdopodobnie Hieronim powierzając swoim spadkobiercom skarb, uważał za stosowne, dać im jakieś wskazówki na temat drogi. Drogi życiowej, rzecz jasna.

Wywody Maćka zrobiły na nas piorunujące wrażenie. Były logiczne i obiecujące: rozwiązać rodzinną tajemnicę i odnaleźć wielki skarb, to nie byle co! Teraz należało się tylko przyjrzeć samemu zegarowi. I to właśnie postanowiliśmy zrobić.

¹⁶ Heretyk - odszczepieniec, nie wierzący tak, jak naucza oficjalna religia.

¹⁷ Cyrylica - alfabetyczne pismo utworzone w IX-X w. Rozpowszechnione wśród wsch. i pd. Słowian oraz Rumunów.

TAJNY KLUB POSZUKIWACZY SKARBÓW

Wujek Roman, właściciel zegara, mieszkał w Rzeszowie. Musieliśmy znaleźć jakiś solidny pretekst, aby do niego pojechać, a to wcale nie było takie proste. Trwał właśnie okres robienia przetworów, wykopek, siania oziminy i innych jesiennych prac, do których nas zatrudniano, więc nawet nie próbowaliśmy poruszać tego tematu.

Nie znaczy to jednak, że sprawa zegara nie posuwała się naprzód. Połknąwszy bakcyła¹⁸ awanturnicznych przygód, snuliśmy najfantastyczniejsze rozważania. W końcu nabraliśmy pewności, że skarb jest faktem, a jego odnalezienie tylko kwestią czasu.

W efekcie takiego przekonania zrodził się pomysł, żeby utworzyć tajny klub wtajemniczonych i zobowiązać wszystkich, do bezwzględnego zachowania tajemnicy.

- Przysięga musi być uroczysta i podpisana własną krwią – stwierdził Maciek, który znał się na tym najlepiej, bo posiadał najbogatszą kolekcję książek o poszukiwaczach skarbów. Dlatego on kierował przygotowaniem do tego uroczystego ceremoniału.

Rzecz miała miejsce o północy podczas nowiu księżyca. Każdy miał obowiązek wymknąć się niespostrzeżenie z domu i przybyć do starej szopy na wrzosowisku. Najdrobniejsza wpadka lub spóźnienie groziło wykluczeniem z tajnego związku, gdyż niedołęgi, ciamajdy, mazgaje, fujary i guzdralscy nie mają dość sprytu, aby się sprawdzić w trudnych warunkach.

Wobec takiego ultimatum¹⁹, wszyscy stawili się w komplecie i na czas. Na odwróconej skrzynce na jabłka paliła się świeczka, obok leżał zwinięty w rulon brystol²⁰ z wykaligrafowaną przez Maćka przysięgą. Usiedliśmy na ziemi dookoła skrzynki. Tekst miał odczytać Michał, jako że już wcześniej został wybrany naszym przywódcą i głupio było wybierać kogoś innego.

¹⁸ Bakcyl – zarazek, w przenośni „połknąć bakcyła” znaczy nabrać zamięłowania, ochoty.

¹⁹ Ultimatum – żądanie, któremu towarzyszy jakaś groźba.

²⁰ Brystol – piękny gruby, sztywny papier.

Kiedy wskazówki naszych zegarów stanęły na dwunastce, Michał odchrząknąwszy zaczął czytać tekst przysięgi. A brzmiał on tak:

Ja, niżej podpisany własną krwią przysięgam uroczyście, że za nic w świecie nie zdradzę powierzonej mi tajemnicy. Przysięgam zachować milczenie nawet w obliczu najwyższego zagrożenia. Przysięgam, iż nie dam się złamać najokrutniejszym torturom fizycznym i psychicznym. Jeżeli nie dotrzymam słowa, będę wart pogardy i zostanę wykluczony z Tajemnego Związku Poszukiwaczy Skarbów.

- Czy wszyscy zrozumieli? – spytał skończywszy czytać.

- Chciałabym, aby mi ktoś wyjaśnił na czym polega to najwyższe niebezpieczeństwo – Marysia podniosła rękę, jakby się zgłaszała do odpowiedzi.

Wszyscy spojrzeliśmy na Maćka.

- To na wypadek, gdyby ci ktoś przyłożył nóż do gardła i powiedział: tajemnica, albo życie. Wtedy oddałabyś życie.

- Czy to nie przesada? – zachnęła się moja ostrożna siostra.

- Przysięga ma sens tylko w kategoriach nieodwołalnych. Nie ma mowy, aby o zachowaniu tajemnicy decydowała subiektywna²¹ ocena sytuacji. Jak coś ma być utajnione, to na mur beton. Zrozumiałaś?

Marysia milcząco przytaknęła i Michał przeszedł do następnego punktu programu, czyli do składania podpisów własną krwią.

Maciek igłą nakłuwał każdemu serdeczny palec (koniecznie serdeczny, bo podobno tylko on jeden ma bezpośrednie połączenie z sercem), w wyciekającej krwi należało umoczyć koniec odpowiednio przyciętego, gęsiego pióra. Trudno powiedzieć czy końcówka pióra była źle przycięta, czy krew jest kiepskim atramentem, w każdym bądź razie pisało się źle. Tutaj zbuntowała się Marysia.

- Uważam, że krwią powinniśmy napisać tylko inicjały, albo jeszcze lepiej podpisać się długopisem i przypieczętować zakrwawionym palcem. Tak będzie sprawiedliwiej. Dla przykładu moje imię i nazwisko składa się z osiemnastu liter, a Wojtka tylko z dziesięciu. Czy to znaczy, że ja mocniej przysięgam niż on?

- Niby dlaczego? – zdziwił się Maciek.

- Jak to dlaczego? Tracę przecież więcej krwi.

²¹ Subiektywny – uwarunkowany osobistymi poglądami i doznaniem, stroniczy.

Ten pomysł wszystkim przypadł do gustu, a Maciek autorytatywnie stwierdził, że przypieczętowanie przysięgi własną krwią jest tak samo ważne jak podpis. Przy tym usprawnieniu ceremonia szybko dobiegła końca. Maciek zwinął brystol w rulon, obwiązał tasiemką, węzeł zalał woskiem ze świecy, i umieścił w blaszanym pudełku po herbacie.

Powstał problem, gdzie ukryć ów cenny dokument. Źle by było, gdyby wpadł w niepowołane ręce. Jurek proponował zawinąć go w folię i zakopać. Michał, że najbezpieczniej byłoby spalić, zrobiwszy przedtem kopię tylko nam znanym szyfrem. Wojtek wpadł na pomysł, aby kartkę podzielić na siedem części i każdemu dać jedną.

- Niech potem każdy sam się martwi gdzie i jak swój kawałek schować. Byle skutecznie. Poza tym jeśli nawet ktoś znajdzie strzępek papieru, i tak nie domyśli się sensu całości.

Ponieważ żadna propozycja nie zdobyła większości, Ola wzięła pudełko by je zamknąć w swoim biurku. Rzecz jasna do czasu, aż coś postanowimy.

- O psiakość - zawołał Michał. - Kto by pomyślał, że przez całe życie być może chodzimy koło wielkiego skarbu i nic o tym nie wiemy. Musimy go koniecznie odnaleźć. Ale będziemy bogaci. Ciekawe, co znajdziemy? Chyba złoto, w dawnych czasach ludzie gromadzili głównie złoto.

- Tak gadasz, jakbyś uważał, że masz do niego prawo - oburzyła się Marysia.

- To nasz rodzinny skarb.

- Skoro chcecie abyśmy pomogli wam w poszukiwaniu, to chyba jasne, że musicie się z nami podzielić - odpalił całkiem logicznie Jurek, ale moja rezolutna siostra nie dała się zbić z pantafyku²².

- Jak się znajdzie coś, co należy do kogoś innego, dostaje się znaleźne, czyli dziesięć procent.

- Czyli dla nas czterech czterdzieści procent - targował się dalej Michał.

- Figa z makiem, dla wszystkich dziesięć, czyli dla każdego po dwa i pół procenta.

²² Zbić z pantafyku – zbić z tonu, stanąć na przeszkodzie zamiarom.

- Nie dzielcie skóry na niedźwiedziu, bo niedźwiedź jeszcze w lesie, najpierw rozwiążmy tę łamigłówkę – przerwała im rozsądnie Ola. - Na razie mamy tylko portret.

Miała rację, jednak wtedy sądziłem, że zdobycie zegara to drobiazg. Czas pokazał, że byłem w wielkim błędzie.

WYPRAWA PO ZEGAR

Minął październik i nastał słotny listopad. Pokończyły się najważniejsze prace w polu, więc uznaliśmy, że można spróbować zorganizować wyprawę do wujka Romana. Któregoś wieczoru, gdy rodzice byli w wyjątkowo dobrym nastroju, Ola oznajmiła, że chciałaby odwiedzić rodzinę w Rzeszowie.

- Świetny pomysł – powiedział tata. – Zaprosimy ich na Boże Narodzenie. Rzecz jasna nie o to nam chodziło.

- Miałam na myśli wizytę u nich.

- Chcesz sama wybrać się w taką drogę? – zaniepokoiła się mama.

- Ciociu, mieszkam w Warszawie i nie sądzę, abym zginęła w innym mieście. Poza tym może ze mną jechać Adam. We dwoje na pewno damy sobie radę.

- A ja? – upomniała się Marysia.

- Ty oczywiście też – przytaknęliśmy zgodnie.

- Czy ja wiem? – zawahała się mama, a jak mama się waha to z reguły po to, aby odmowę uczynić mniej przykrą. Należało temu w porę zapobiec.

- Przy sposobności kupilibyśmy sobie brakujące lektury – dodałem wiedząc, że mama lubi, gdy się przykładam do nauki. Ola zrozumiała w czym rzecz i od razu dorzuciła coś od siebie.

- A ja kupiłabym nowy program komputerowy do nauki angielskiego. Ten, który mam, jest dla Marysi za trudny – dodała, co przypadkiem było prawdą.

- Nie powinniście opuszczać lekcji – wysunęła jeszcze jeden argument mama. W jej mniemaniu - najmocniejszy.

- Pojedziemy w sobotę. W soboty przecież nie chodzimy do szkoły. Przy okazji zawieziemy wujkowi zaproszenie na święta – naciskała Ola.

- I odbierzemy szatkownicę, którą ciocia pożyczyła dwa lata temu i do tej pory nie miała czasu zwrócić – wtórowała nam solidarnie Marysia.

Jeszcze długo trwała ta dyskusja, lecz wreszcie zdołaliśmy wymóc na mamie pozwolenie. A jak już zgodziła się mama, tata nie protestował. Zresztą on w ogóle był zdania, że należy dzieci uczyć samodzielności.

Tak więc w najbliższą sobotę pojechaliśmy do Rzeszowa. Rzeszów powitał nas deszczem, jednak wobec powagi naszej misji nie miało to większego znaczenia. Żeby nie tracić zbyt wiele czasu i nie zmoknąć, z dworca wzięliśmy taksówkę, i już po piętnastu minutach byliśmy na miejscu. Drzwi otworzył nam kuzyn Marek.

- Czego chcecie? – spytał opryskliwie udając, że nas nie poznaje.
- Czy jest ciocia... ?
- Jaka ciocia, wieśniaku²³? – nie dał mi skończyć.
- My do państwa Nowosielskich, palancie²⁴ – do rzeczy zabrała się Ola.
- Kto przyszedł Mareczku? – dobiegł z głębi mieszkania głos cioci Heli.
- Jakieś wieśniaki do ciebie.

Ciocia wybiegła z kuchni.

- O mój Boże, toż to Marysia, Adaś i... zaraz, zaraz... Ola od Elżuni – ucieszyła się. - Kochanie, przecież to krewni, przywitaj się.

Ten tylko burknął coś pod nosem i zniknął za drzwiami oblepionymi plakatami gwiazd rocka. Po chwili z jego pokoju dobiegła głośna muzyka.

- Mareczek jest dzisiaj bez humoru – usprawiedliwiła go ciocia.
- Drobiazg – daliśmy do zrozumienia, że bagatelizujemy sprawę.

Ciocia chcąc zatrzeć złe wrażenie, jakie wywołało nieuprzejme zachowanie Mareczka, była nadskakująco słodka. Krzątając się koło nas bez przerwy mówiła. My zaś, przytakując jej od czasu do czasu, lustrowaliśmy²⁵ bacznie pokój.

Na jednej z półek stał budzik oprawiony w imitację²⁶ kryształu, a na ścianie wisiał elektryczny zegar w kształcie elipsy. Niewątpliwie żaden nie stanowił pary

²³ Wieśniak – człowiek trudniący się rolą, chłop, tu użyte w znaczeniu obraźliwym.

²⁴ Palant – kij do odbijania piłki w grze o tej samej nazwie, tu słowo użyte w znaczeniu obraźliwym.

²⁵ Lustrować – oglądać, obserwować.

²⁶ Imitacja – naśladowanie, przedmiot podrobiony naśladowujący cenny oryginał.

dla portretu Hieronima. Były jeszcze dwa pokoje i kuchnia. Porozumieliśmy się wzrokiem.

- Ładne ciocia ma mieszkanie – udało się powiedzieć Oli, gdy ciocia brała głębszy oddech między kolejnymi zdaniami.

To wystarczyło, aby rozmowę skierować w nowym kierunku. Teraz ciocia opowiadała o kłopotach z remontem, który zrobiła latem. Bez naszej dodatkowej inicjatywy pokazała nam drugi pokój, kuchnię sypialnie i łazienkę.

Chodziliśmy za nią chwając wszystko po kolei i pilnie wypatrywaliśmy zegara. Nigdzie go nie było. W końcu pozostał tylko do spenetrowania²⁷ pokój Marka, lecz do pokazania go, ciocia się nie kwapiła²⁸.

- U Mareczka pewnie jest najładniej? – Marysia uśmiechnęła się przymilnie.

- Nowomodnie, ale Mareczek nie lubi żeby mu przeszkadzano – z przeprasającym uśmiechem wyjaśniła ciocia.

- Tylko zagłębniemy – Ola nie czekając na pozwolenie otworzyła drzwi.

Pokój przypominał klub muzyczny. Ściany, aż po sufit, były zabazgrane napisami i wytapetowane plakatami gwiazd rocka. W jednym kącie stała perkusja, w drugim wieża stereo. Tyle. Mareczek leżał na materacu po środku i słuchał muzyki.

- Co włączicie jak do obory! .

- Rzeczywiście jak do obory – odcięła się Ola.

Wycofaliśmy się do pokoju gościnnego.

- Ładny zegar – wskazałem na budzik.

- O tak, prześliczny – poparła mnie żarliwie Marysia.

- Oryginalny – docukrzyła Ola.

Zgodnie z naszymi przewidywaniami ciocia Hela zaczęła mówić o zegarach i, ku naszemu zdumieniu, miała na ten temat równie dużo do powiedzenia, co i o remoncie.

- Dziadek Eustachy opowiadał o jakimś starym zegarze. Chcemy go wypożyczyć na wystawę staroci – skłamałem nie widząc innego sposobu, aby uzyskać potrzebne nam informacje.

²⁷ Penetrować – przeszukiwanie, badanie czegoś.

²⁸ Kwapić się – spieszyć się.

- Był tu taki paskudny gruchot, który teść bardzo sobie cenił. Nawet w związku z nim zrobił jakiś zapis w testamencie. Starzy ludzie miewają dziwne pomysły. Komu potrzebny jest stary rupieć zżerany przez korniki.

- I co się z nim stało?

- Leży w pawlaczu. Możecie go sobie wziąć, bo i tak go miałam wyrzucić na śmietnik.

Odetchnęliśmy z ulgą.

Ciocia stanęła na krześle i zaczęła przeszukiwać pawlaczu. Nagle ktoś otworzył drzwi. Czy to ją tak przestraszyło, czy też zrobiła jakiś niefortunny²⁹ ruch, bo krzesło uciekło jej spod nóg. Wymachiwała przez chwilę rękami chcąc złapać równowagę, wreszcie, niemalże w ostatniej chwili uczepliła się półki i tak zawisła.

Dokładnie w tym momencie wszedł wujek Roman.

- Co się dzieje? – zawołał przestraszony.

- Zdejmij mnie – jęknęła ciocia.

Wujek postawił ją bezpiecznie na podłodze, dopiero wtedy zwrócił na nas uwagę.

Przywitaliśmy się grzecznie i czym prędzej wróciliśmy do tematu zegara.

- No właśnie, gdzie jest ten zegar? – inicjatywę przejął wujek.

- Przecież sam go wsadziłeś do pawlacza przed remontem.

- I jest tam?

- No... nie ma.

- W takim razie gdzie się podział?

- Czy ja mam głowę do wszystkich szpargałów? – obruszyła się ciocia. – Może

Mareczek wyniósł do piwnicy.

Wujek zawołał syna. Ten wyszedł niechętnie ze swojego pokoju, oparł się o futrynę i ze znudzoną miną żuł gumę.

- Wziąłeś zegar dziadka z pawlacza? – Marek wyraźnie ociągał się z odpowiedzią. – No, wyduś wreszcie prawdę.

- Wziąłem – mruknął niechętnie rzucając nam wściekle spojrzenie.

- Co z nim zrobiłeś?

- Pożyczyłem koledze.

²⁹ Niefortunny – nieszczęśliwy, nieudany, chybiony.

- Pożyczyłeś zegar dziadka?

- Niedokładnie. Wymieniłem na płytę.

Wujek najpierw poczerwieniał, potem zbladł jak ściana.

- Teraz zwrócisz płytę i odbierzesz zegar.

- Odpada, nie chcę wyjść na durnia.

Szczęki wujka aż zatrzeszczały z napięcia. Podszedł do Marka chwycił go za ramiona i potrząsnął jak snopkiem.

- Albo przyniesiesz zegar, albo obedrę cię ze skóry, nicponiu.

- Daj spokój Roman, to tylko stary, zepsuty zegar. Chłopak nie wiedział, że tak ci na nim zależy – ciocia próbowała załagodzić sytuację.

- Po pierwsze, ten stary zegar to rodzinna pamiątka po moim ojcu, po drugie, nie będę tolerował wynoszenia cichcem z domu czegokolwiek, bo to zwyczajne złodziejstwo...

Niespodziewanie nasza wizyta przybierała coraz bardziej nieprzyjemny charakter, jednak tak czy owak, zmierzaliśmy do celu.

- Teraz pójdziesz do tego kolegi i odbierzesz zegar. Nie obchodzi mnie, jakich użyjesz argumentów. Z pustymi rękami nie waż mi się nawet pokazywać w domu. Ty Adasiu pójdziesz z nim – zwrócił się do mnie, jakby nie dowierzał synowi.

Kiedy znaleźliśmy się przed blokiem, posypał się na mnie grad wyrzutów.

- Diabli was nadali... Zegara nie widzieli wieśniaki jedne... Słoma im z butów wyłazi, a pchają się w nie swoje sprawy...

Kiedy Marek był mały, co roku przyjeżdżał do nas na całe lato, a my traktowaliśmy go jak brata. Teraz nie wiem, co w niego wstąpiło. Zachowywał się, jakby odebrało mu rozum. Gardził nami dlatego, że nie mieszkamy w mieście, czy co?

Rozwazałem w myślach, jak się zachować. Odpowiedzieć tym samym językiem, czy też zbyć milczeniem. W końcu doszedłem do wniosku, że trzeba załatwić to, co mieliśmy do załatwienia i więcej tutaj nie wracać.

Weszliśmy do secesyjnej³⁰ kamienicy w Śródmieściu. Drzwi otworzył nam jakiś brodaty chudzielec w ciemnych okularach. Z reguły okulary są po to, aby lepiej widzieć. Te wyglądały, jakby miały zasłonić świat.

- Cześć – przywitał Marka.

- Cześć. Słuchaj koleś, musisz oddać zegar, bo stary dostaje szału. Masz tu z powrotem swoją płytę.

- Nic z tego – rozłożył ręce. – Wczoraj go opyliłem.

- Nie ściemniaj! – Zawołał z przestachem Marek.

- Jak babcię drypcię – upewnił go tamten.

- Ale będzie chryja. Komu go opyliłeś?

- „Desie”.

Sprawa coraz bardziej się komplikowała, ale ciągle miałem nadzieję, że zegar jeszcze nie znalazł nabywcy i będzie można go odkupić. Pobiegliśmy do „Desy”, sklepu handlującego antykami i dziełami sztuki. Niestety. Był zamknięty.

Wracaliśmy w smętnych nastrojach. Marek spuścił nieco z tonu.

- Powiemy, że nie zastaliśmy kumpla w domu – powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Może ty tak powiesz, bo ja nie mam zamiaru kłamać.

- Nie wygłupiaj się!

- Przykro mi. Takie mam wieśniackie zasady – nareszcie nadarzyła się okazja, aby odplacić pięknym za nadobne. Przez resztę drogi nie odezwaliśmy się do siebie ani słowem.

- No i co? – spytał wujek zaraz w drzwiach.

Marek patrzył na mnie wyczekująco. Wiedziałem, że ciągle jeszcze liczy, że będę go krył. Ja tymczasem milczałem jak kamień.

- Kolegi nie zastaliśmy w domu – zaryzykował.

Już miałem zaprzeczyć, ale na szczęście ugryzłem się w język. Pomyślałem, iż skoro w domu wujostwa los zegara jest niepewny, będzie lepiej, jeżeli sami go wykupimy. Marek ośmielony moim milczeniem, dorzucił pewnie.

- Kolega będzie dopiero za tydzień.

³⁰ Secesja – modernizm, styl w sztuce na przełomie XIX i XX w. , który znalazł odbicie m.in. w architekturze.

- Przyjmij do wiadomości, że przez miesiąc nie dostaniesz kieszonkowego i... i bez zegara nie pokazuj mi się na oczy, bo cię stłukę na kwaśne jabłko.

Mareczek poszedł do siebie trzaskając drzwiami. Chwilę później z jego pokoju dobiegła głośna muzyka.

- Ścisz tego wyjca! – krzyknął wujek, ale odniosło to niewielki skutek. Muzyka ścichła najwyżej o parę decybeli.

Atmosfera była ponura jak w rodzinnym grobowcu. Dziewczyny, spodziewając się najgorszego, najwyraźniej straciły humor. Chociaż ciocia próbowała zatrzymać nas na obiedzie, postanowiliśmy wracać do Leśniówki. W imieniu rodziców zaprosiliśmy ich na święta, a Marysia przypomniała o szatkownicy.

Wujek odwiózł nas na dworzec swoim samochodem. Po drodze trochę skarżył się na Marka, trochę go usprawiedliwiał, ale nie poruszył więcej tematu zegara. Dla tego wyraźnie przemęczonego codziennymi kłopotami człowieka, rodzinna pamiątka nie znaczyła zbyt wiele, bardziej martwiło go postępowanie syna. Miał wyrzuty sumienia, że za dużo pracuje i nie poświęca rodzinie tyle czasu, ile należy.

Miałem na ten temat zupełnie inne zdanie. Uważałem, że Marek jest po prostu rozwydrzonym facetem. I tyle.

Kiedy wysiadaliśmy, wujek powiedział z zakłopotaniem:

- Nawet nie zdążyłem z wami porządnie porozmawiać. Następnym razem uprzedźcie mnie wcześniej o przyjeździe.

„Nieprędko będzie ten następny raz” – pomyślałem, a głośno zapewniłem go, że będziemy o tym pamiętać.

- No to nici z naszych skarbów – westchnęła Marysia, gdy tylko wujek odjechał.

- Jest jeszcze nadzieja. Zegar, być może, będziemy jeszcze mogli kupić w Desie.

W autobusie opowiedziałem dziewczynom, co ustaliłem.

- To dobry ślad, jednak bez pomocy dziadka się nie obędzie – stwierdziła Ola po dłuższym milczeniu i, nie czekając na nasze pytania, zaczęła wyjaśniać. – Zabytkowe przedmioty są bardzo drogie. Nie wiadomo, czy nasze oszczędności

wystarczają. Poza tym czy ktoś miał choć raz okazję zetknąć się z tym zegarem i zapamiętać jego wygląd? Ja na przykład nie.

- Przypominam sobie jak przez mgłę, że u dziadka Stefana wisiał stary zegar. W pamięci utkwiło mi tylko długie wahadło ze złotą tarczą – powiedziałem.

- A ja pamiętam, że był ciemny i prostokątny – dodała Marysia.

- To za mało. W sklepie z antykami łatwo o pomyłkę. Możemy stracić czas, pieniądze i na dodatek kupić nie to, co chcemy.

Dotąd nigdy postronnej osoby nie braliśmy pod uwagę, ale dziadek nie jest przecież postronną osobą. Zaczynałem mieć wątpliwości, czy dobrze zrobiliśmy, zatajając przed nim nasze zamiary. Może lepiej byłoby spytać go o zgodę? Tak czy siak, skoro bez dziadka nie można było ruszyć dalej, nadarzyła się doskonała sposobność, aby naprawić ten błąd.

Gdy tylko wróciliśmy do Leśniówki, natychmiast pobiegliśmy do dziadka i opowiedzieliśmy o losie zegara. (O naszych zamiarach związanych z poszukiwaniem skarbu na razie przemilczeliśmy). Dziadek był oburzony.

- Nasza rodzinna pamiątka na wyprzedazy? O nie! Nigdy na to nie pozwolę. Zegar od pokoleń służył Nowosielskim. Odmierzał czas mojemu ojcu Janowi, dziadkowi Stanisławowi, pradziadkowi Gerwazemu, ojcu pradziadka Zygmunтови... Chyba nikogo nie pomiąłem?

- Pomiąłeś samego Hieronima – przypomniałem.

- No właśnie, jeszcze on. Przez tyle lat ten zegar był świadkiem tylu wydarzeń... Nikt go nie sprzedał, nawet, gdy przymieraliśmy głodem. Wynosiliśmy go z wojen i pożarów, był z nami na tułaczce... Długo by mówić, a ten hultaj, ten chłystek zamienił go na ryki jakiegoś pajaca.

W poniedziałek o świcie dziadek pojechał do Rzeszowa. Wrócił wieczorem z zegarem pod pachą i natychmiast powiesił go obok portretu Hieronima Nowosielskiego.

PIERWSZE PRÓBY ODKRYCIA TAJEMNICY

Zegar wyglądał tak, jakby się składał z dwóch pudeł: górnego – kwadratowego i dolnego – prostokątnego.

Górną część wypełniał porcelanowy cyferblat³¹. Na środku tarczy widniało złote słońce z dwunastoma promieniami. Każdy promień obejmował jedną godzinę zaznaczoną rzymską cyfrą. Wskazówki w kształcie strzał znieruchomiały dokładnie na szóstce.

W dolnej części mieściło się wahadło i dwa ciężarki szyszki. Wszystkie drewniane części były rzeźbione w drobny motyw roślinny i różne esy floresy. Rzeczywiście, piękny zegar, chociaż szerniały ze starości.

Przez tylne drzwiczki dało się zaglądnąć do środka górnego pudła. Obejrzelśmy dokładnie mechanizm, ale nie dostrzegliśmy żadnego napisu ani znaku, który mógłby nas naprowadzić na konkretny trop. Wszystko wskazywało, że mamy przed sobą nie tyle jaką łamigłówkę.

Po powierzchownych oględzinach doszliśmy do wniosku, że trzeba zegar rozłożyć na czynniki pierwsze, ale na to musieliśmy uzyskać zgodę dziadka.

- Zanim się zabierzemy za rozkładanie, musimy zdobyć jakąś wiedzę na temat starych zegarów – stwierdziła Ola.

- Po co nam wiedza? – zachnął się Michał. – Najważniejsze, odnaleźć klucz do zagadki.

- Pomyśl, skoro ten Hieronim był okrzyknięty czarnoksiężnikiem, co świadczyłoby, że w jakiś sposób wyprzedzał swoją epokę, więc mógł ten zegar zbudować inaczej, niż budowano zegary w jego czasie. I w tym może tkwić wskazówka do rozwikłania sekretu.

- Nic z tego nie kumam – przyznał się Maciek.

Ja też, ale milczałem z mądrą miną.

- Pamiętajcie, co opowiadał dziadek? Hieronim potrafił latać...

- Twoje rozumowanie idzie w złym kierunku. Hieronim z całą pewnością żył po Leonardzie da Vinci, który pierwszy sformułował zasady budowy statków

³¹ Cyferblat – tarcza zegarowa.

powietrznych. W 1799 roku Cayley zbudował samolot ze skrzydłami, podwoziem, napędem i sterami – popisywał się Jurek, który interesował się lotnictwem, chciał zostać pilotem i o maszynach latających wiedział chyba wszystko.

- Ale zabełtałeś! – zawołał Maciek.

- Nie zabełtałem, tylko udowodniłem, że źle robimy zakładając, że Hieronim wyprzedzał swoją epokę. Może po prostu był człowiekiem zainteresowanym wynalazkami?

- Nie zgadzam się. Przecież nie napisał, że zwyciężył przestrzeń, dorównał ptakom, czy coś w tym guście. Napisał, że zwyciężył czas, czyli dokonał jakiegoś wynalazku związanego z zegarami – udowadniała Ola.

- Jeśli nawet udoskonalili jakieś kółko zębate, albo inny trybik, no to co? – teraz z wątpliwościami wystąpił Wojtek. – Przez całe stulecia ktoś coś udoskonaliał.

- Mam niejasne przeczucie, że bez solidnej wiedzy o osiemnastowiecznych zegarach, nie rozwiążemy tej zagadki.

- Może Ola ma rację. Przecież, gdybyśmy się nie dowiedzieli, iż w sarmatyzmie portretowany lewą rękę trzyma na szabli, a prawą na biodrze, nigdy nie przyszło by nam do głowy kombinować, dlaczego Hieronim, Sarmata pełną gębą, unosi palec do góry. Przecież właśnie od tego palca wszystko się zaczęło – przypomniałem.

- Skoro na razie nie mamy innych pomysłów, sprawdźmy, jak to jest z tymi zegarami. Trochę wiedzy nam nie zaszkodzi – zgodził się Wojtek.

Od tego dnia zaczęliśmy grzebać w książkach i zbierać wszelkie informacje na temat rozwoju techniki w pomiarze czasu. Ola utworzyła nawet specjalny plik w komputerze, żeby nie umknęły nam żadne dane.

Jeżeli o mnie chodzi, miałem okazje stwierdzić, jak mało wiem o historii zegarów. Na przykład z prawdziwym niedowierzaniem przyjąłem do wiadomości, że już w XIII wieku budowano zegary mechaniczne. Co prawda aż w Chinach, ale zawsze!

Za czasów Hieronima były już znane zegary wahadłowe z napędem ciężarkowym. Jego zegar miał i wahadło, i napęd ciężarkowy. Należało jeszcze ustalić, czy podobnie jest w środku.

Nasza wiedza na temat zegarów, z dnia na dzień, była bogatsza. Ja na przykład, bez zająknięcia, mogłem nie tylko deklamować, z jakich części składał się mechanizm zegarowy, ale znałem nawet nazwiska sławnych zegarmistrzów. Nie posuwało to jednak sprawy do przodu ani na krok.

NOWY SPADKOBIERCA RODZINNEGO SKARBU

Pewnie dalej dreptalibyśmy w miejscu, gdyby nie dziadek Eustachy. Był dokładnie piąty grudnia. Tego dnia popołudniu, jak co dzień, przyszedłem dziadkowi przynieść węgla.

- Mam nadzieję, że przestałeś już wierzyć w świętego Mikołaja - zagadnął niespodziewanie.

- No jasne. Lubię jednak dostawać prezenty.

- Usiądź - wskazał fotel naprzeciw siebie. Usiadłem, a on ciągnął dalej. - Opowiedziałem wam kiedyś historię naszego antenata Hieronima. Nie powiedziałem wszystkiego do końca.

Nastawiłem uszu.

- Jestem niezmiernie ciekaw - zapewniłem go, co było absolutnie zgodne z prawdą.

- Otóż Hieronim Nowosielski postawił warunek, aby zegar i portret zawsze otrzymywał najstarszy syn. Nasz ojciec nie wiedząc jak wypełnić testament w przypadku bliźniaków, podzielił pamiątkę rodzinną, ale nie na zawsze. Zastrzegł w testamencie, że po nas obie te rzeczy mają przejść na tego z naszych potomków, który będzie starszy.

- Czyli na wujka Romana- poczułem, jak cała krew ucieka mi w pięty.

- Tak, a potem na Marka. Po tym, co zrobił ten łobuz, nie bardzo mam na to ochotę. Przeczytałem więc jeszcze raz testament i znalazłem w nim jedno zdanie, które daje mi możliwość manewru. W ostatnim zdaniu ojciec zastrzegł, że w przypadku, gdyby spadkobierca nie okazał się godny tego spadku, wtedy, można na spadkobiercę wyznaczyć kogoś innego. Moim zdaniem wujek Roman nie daje gwarancji, że przekaże te cenne pamiątki w dobre ręce. Marek to leń i nicpoń.

- Zgadzam się - przytaknąłem skwapliwie, a kamień spadł mi z serca.
- To dobrze. Postanowiłem skorzystać ze swoich uprawnień i ciebie uczynić jedynym spadkobiercą.
- Dziękuję! - zawołałem.
- Musisz złożyć uroczystą przysięgę, że do końca życia, jak oka w głowie będziesz strzegł portretu Hieronima i jego zegara.
- Przysięgam.
- Przysięgnij też, że przekazesz obie te rzeczy najstarszemu synowi wraz z historią, którą ci opowiedziałem.
- Przysięgam.
- Jest to jednocześnie mój prezent mikołajkowy.
- Dziękuję, nikt nie byłby w stanie wymyślić niczego wspanialszego. Dziadku, zegar jest w bardzo złym stanie. Czy mógłbym go odrestaurować?
- Chcesz go zanieść do zegarmistrza?
- Sam go naprawię.
- Hm, pewnie zrobisz z niego dwa zegary i pomalujesz jakąś ohydną, olejną farbą.
- Ależ nie, tylko go oczyszczę i złożę dokładnie tak samo. Najwyżej części drewniane zapuszczę jakimś środkiem impregnującym³². Widzisz? Jeszcze parę lat, a korniki całkowicie go zeżrą.
- No dobrze, ale jak nie będziesz mógł go złożyć, wtedy przyjdź do mnie. Wychodząc, zadałem dziadkowi pytanie, które powinienem zadać już dawno:
- Czy próbowałaś dziadku kiedyś rozwiązać tę zagadkę, którą Hieronim pozostawił swoim potomnym w spadku?
- Nie tylko ja. Próbowało siedem pokoleń, ale każdy musiał w końcu dać za wygraną. Wiem, że ty też będziesz próbował i oby ci się to udało.

³² Impregnacja – nasycanie środkami zapobiegającymi działaniu np. owadów, (np. korników), pleśni, wody itp.

PRZEGRYWAMY Z HIERONIMEM

Radość z zegara była przeogromna. Nareszcie można go było rozebrać i dokładnie pooglądać. Obawiałem się, że po rozłożeniu będę miał mnóstwo elementów, których potem nie poskładam. Gdy byłem mały, tak właśnie załatwiłem mamie budzik.

Ola poradziła mi, aby sporządzić dokumentację. Najpierw sfotografować, potem opisać każdą część i zaznaczyć kolejność demontażu.

Zdjęcia robił Michał. Najpierw obfotografował pudło ze wszystkich stron, potem ostrożnie zdjąłem tylną ścianę, odkręciłem wskazówki, odczepiliśmy wahadło i ciężarki, wreszcie wyjęliśmy mechanizm. Michał, rzecz jasna przez cały czas pstrykał.

Gdy już wszystkie części leżały poskładane w głębokim talerzu, obejrzelśmy i opukaliśmy dokładnie każdy centymetr kwadratowy obudowy, a nawet wyjęliśmy tarczę. Jednak nigdzie nie było nawet śladu jakiegokolwiek zapisu. Nie mówiąc już o mapie.

- Spróbujmy jeszcze wyplukać w spirytusie te wszystkie trybiki. Może coś się wyłoni spod patyny³³ - nie traciła nadziei Ola.

Była to, jak nam się wówczas zdawało, ostatnia szansa. Pucowaliśmy więc do pierwszej czystości każde kółeczko i oglądaliśmy pod lupą ze wszystkich stron. Wszystko na nic.

Tymczasem nadeszły święta i zjechali goście: wujek Roman, ciocia Hela oraz Marek. Z konieczności musieliśmy przerwać swoje zajęcia tym bardziej, że Marka dokwaterowano mi do pokoju. Żaden z nas nie był tym zachwycony, ale ja przynajmniej tego nie okazywałem w tak ostentacyjny³⁴ sposób jak on.

- Nie wiem, jak wytrzymam w takim wieśniackim otoczeniu - westchnął teatralnym szeptem, niby to do siebie.

- Spróbuj, może nie wykorkujesz - poradziłem mu.

³³ Patyna - śniedź, nalot pokrywający z czasem przedmioty z miedzi lub jej stopów.

³⁴ Ostentacyjny - na pokaz, umyślnie podkreślany, obliczony na zwrócenie uwagi.

Mareczek w odpowiedzi rąbnął się z butami na łóżko, założył słuchawki i lekceważąc moją obecność, pograżył w kontemplacji muzyki. Nie miałem zamiaru pokazywać, że mnie to obchodzi. Odtąd jak mogłem, unikałem jego towarzystwa.

I tak ignorowaliśmy³⁵ się nawzajem aż do wigilijnej wieszery, kiedy to należało wspólnie zasiąść w największym pokoju, przy pięknie nakrytym stole. W kącie błyszcząca lampkami przystrojona przez dziewczyny choinka, a z radia płynęły kolędy. Taki uroczysty nastrój nie służy dąsom, więc nawet Marek zachowywał się poprawnie.

Nie będę opisywał szczegółowo, jak spędziliśmy święta. Muszę jednak wspomnieć o drobnym wypadku, który wtedy wydał mi się bez znaczenia.

Jedyną rzeczą na którą Marek w naszym domu nie kręcił nosem, było wieśniackie jedzenie. Pałaszował danie za daniem z wielkim apetytem, a potem stwierdził, że go rozboleł żołądek więc postanowił się położyć. Nikt mu nie przeszkadzał, dopiero późnym wieczorem, gdy poszedłem na górę, zobaczyłem, że Marek nie śpi, lecz u dziewcząt w pokoju gra na komputerze.

Następnego dnia niespodziewanie powiedział:

- Wiesz, głupio wtedy postąpiłem z rodzinną pamiątkę, która przez tyle lat była w naszym domu.

- Przehandlowałeś zegar, ale na szczęście dziadek go wykupił i dał mnie. Teraz jest legalnie mój.

- Cieszę się, że został w rodzinie, ale gdybyś go chciał opylić, pamiętaj, jestem pierwszy- powiedział obojętnie i już więcej nie wracał do tego tematu.

Nasz przysiółek leży na terenie górzystym. Parę lat temu na Zbójnickiej Górze wznoszącej się między Leśniówką a Brzozowem, wybudowano wyciąg narciarski. Odtąd przyjeżdżali tu amatorzy białego szaleństwa nawet z bardzo daleka. Ale najwięcej narciarzy było oczywiście z okolicznych miejscowości.

Tej zimy spadło wyjątkowo dużo śniegu, więc korzystając z ferii, całe dni spędzaliśmy na stoku. Miłym zaskoczeniem był dla nas fakt, że zarozumiały i opryskliwy dotąd Mareczek, zmienił się nie do poznania. Ucinał sobie pogawędkę z dziadkiem Eustachym, próbował zaprzyjaźnić się z Wojtkiem, Michałem, Marcinem i

³⁵ Ignorować- celowo, świadomie nie zauważać, nie brać pod uwagę, nie liczyć się z kimś, lekceważyć.

Jurkiem, żartował z Marysią, interesowała go nasza szkoła, koledzy, nauczyciele i w ogóle wszystko. Zacząłem wierzyć, że tak dobroczynnie podziało na niego świeże wiejskie powietrze. Chętnie jeździł z nami na nartach, chociaż był kiepskim narciarzem.

Cieszyłem się, że nasze stosunki się polepszyły. W końcu, jakby na to nie patrzeć, Marek był moim kuzynem.

POJAWIA SIĘ KONKURENCJA

Minęły ferie, goście odjechali i wszystko wróciło do normy. Zimowej normy. Kiedy po lekcjach wracaliśmy ze szkoły, nie było już czasu, żeby jeździć na nartach, a że staw za domem Jurka pokrył się grubym lodem, przypinaliśmy łyżwy i przynajmniej przez godzinę graliśmy w hokeja.

Brak efektów przy rozwiązywaniu tajemnicy Hieronima zniechęcał, toteż entuzjazm członków klubu poszukiwaczy skarbów wyraźnie osłabł. Coraz częściej siedziałem samotnie nad zegarem ponawiając próby znalezienia chociażby najmniejszej wskazówki, którą mój przodek musiał przecież gdzieś zostawić.

W końcu i ja zacząłem tracić nadzieję. Jedyłą moją ambicją pozostało tylko uruchomić zegar, by przynajmniej odmierzał czas jak dawniej.

Złożyłem mechanizm w kolejności dokładnie odwrotnej niż go rozkładaliśmy. To, rzecz jasna, było za mało, a na więcej brakło mi umiejętności. Nie pozostało więc nic innego, jak zwrócić się o pomoc do dziadka. Ten potraktował moją prośbę z największą powagą.

- Znam pewnego zegarmistrza, który naprawia takie starocie - rzekł. - Pojedziemy do niego.

- Kiedy?

- Jeszcze nie wiem, ale pojedziemy z pewnością.

Tymczasem przysza wiosna, a z wiosną nowe obowiązki. Nawet ja coraz częściej zapominałem o zegarze i bywało, że tygodniami leżał nietknięty na najwyższej półce biblioteczki.

Ale nie zapomniał dziadek. Pewnego razu powiedział, abym przygotował się do wyjazdu. Usprawiedliwiłem w szkole swoją nieobecność i zapakowałem starannie zegar. Następnego dnia pojechaliśmy autobusem do Dukli.

Dziadek zaprowadził mnie do małego zakładu zegarmistrzowskiego. Zakład, jak wypadało na zakład w tej branży, pełen był różnych urządzeń do pomiaru czasu. Zegary wisiały na ścianach, stały na półkach, szafkach, parapetach, kontuarze... jednym słowem – wszędzie.

Dziadek z panem zegarmistrzem przywitał się jak ze starym znajomym i wdał w pogawędkę o jakichś dawnych sprawach. Dopiero po piętnastu minutach wyczerpał im się temat i mistrz zainteresował się celem naszej wizyty.

- Wnuczek przyniósł zegar do naprawy. Próbował sam go naprawić, ale brakuje mu jakichś części – pochwalił mnie dziadek.

Rozpakowałem zegar. Zegarmistrz pokręcił z podziwem głową.

- Cacko, prawdziwe cacko. Rarytas. Kupię go od ciebie Eustachy.

- Wykluczone. Już jest własnością Adasia.

- A ty? Może ty go sprzedaż? Dobrze zapłacę.

- Za nic w świecie. Proszę go tylko naprawić.

- Zastanów się, możesz dostać dużo pieniędzy.

- Żadna cena nie wchodzi w rachubę.

- Widzę, że upór, jest waszą rodzinną cechą - skwitował i z wyraźną przyjemnością zabrał się do oględzin zegara. W końcu stwierdził - To tylko wychwył³⁶. Zaraz go założę.

Pracował rozmawiając jednocześnie z dziadkiem. W niecałe pół godziny zegar był gotowy. Zegarmistrz przyglądał mu się chwilę z głębokim zastanowieniem, wreszcie rzekł.

- On ma nietypowe wahadło. Prawdopodobnie zostało założone, w miejsce starego, na początku osiemnastego wieku. Przypadkowo mam kilka oryginalnych wahadeł z tamtego okresu i, jeśli chcecie, chętnie je założę.

Dziadek spojrzał na mnie pytająco.

- Dziękuję, niech zostanie tak jak jest – postanowiłem.

W domu czekała na nas przykra niespodzianka. Zginął zegar, który wisiał w saloniku. Zwykły ścienny zegar, ani drogi, ani zabytkowy. Ślady wskazywały, że złodziej wszedł przez okno, a potem z łupem wrócił tą samą drogą. Mama przypuszczała, że stało się to między dziesiątą a dwunastą, bo za pięć dziesiąta właśnie na tym zegarze sprawdziła która godzina, a o dwunastej zauważyła jego brak.

Tata zgłosił kradzież policji, lecz bardziej z poczucia, że tak należy, niż z wiary w odzyskanie zegara. Przyszedł posterunkowy, sierżant Wilk, spisał protokół i obiecał ująć sprawcę. Gdyby mu się udało, osiągnąłby piękny wynik stuprocentowej wykrywalności przestępstw, gdyż była to jego pierwsza sprawa w Leśniówce odkąd, przed dwudziestu laty, objął służbę. Przypuszczał, iż przez następnych dwadzieścia lat taka okazja może się nie powtórzyć.

Jakież było nasze zdziwienie, gdy następnego dnia zaraz po powrocie ze szkoły, zobaczyliśmy na podwórku sierżanta Wilka rozmawiającego z rodzicami. Z zawiedzioną miną poinformował nas, że zegar się odnalazł, a ściślej, odnalazła go mama pod krzakiem agrestu.

Nikt, nawet sierżant Wilk, nie był w stanie odgadnąć, kto i po co kradł zegar, aby go potem porzucić w ogródku. Tylko Ola coś przeczuwała.

- Może ten ktoś chciał ukraść zegar Hieronima? Gdy zobaczył, że się pomylił, wtedy go zostawił – powiedziała do mnie szeptem.

- E tam, przecież tych zegarów nie można pomylić.

- A jeżeli złodziej działał na zlecenie?

- Czyje?

- Tego nie wiem.

- Sugerujesz³⁷, że ktoś z nas się wygadał?

- Tego też nie wiem, ale jeżeli ktoś ukradł jakąś rzecz, a potem ją porzucił, każe przypuszczać, że nie o tą rzecz mu chodziło.

³⁶ Wychwył – element mechanizmu zegarowego przekazujący energię napędową od przekładni zębatej do regulatora i nadający przekładni ruch skokowy.

³⁷ Sugerować – poddawać myśl.

Coś mnie tknęło. Pobiegłem do swojego pokoju. Ola miała rację. Zegar Hieronima znikł jak kamfora.

ZOSTAJEMY DETEKTYWAMI

Moja rozpacz nie miała granic. Sierżant Wilk znów napisał stosowny protokół i obiecał zegar odnaleźć. Wierzyłem, że będzie się starał, lecz na wszelki wypadek sam postanowiłem zabawić się w detektywa. Wszyscy wtajemniczeni z zapalem zadeklarowali pomoc.

Ślady znów wskazywały, że złodziej wszedł przez okno, ale tym razem najpierw musiał się wspiąć po jabłonce, bowiem mam pokój na piętrze. Ślad trampka odcisnięty na grządce truskawek pozwolił wywnioskować, iż złodziej był osobą ciężką i miał wyjątkowo duże stopy.

Michał obfotografował odcisk, Ola dokładnie go obmierzyła, a wymiary zapisała na odwrocie zdjęcia. Odtąd każdy miał wypatrywać osobników o dużych stopach. Chociaż nie mieliśmy pewności, czy złodziej pochodzi z naszych okolic, jednak trzeba było od czegoś zacząć.

Liczyłem na szczęście, lecz nie przypuszczałem, że szczęście uśmiechnie się do nas już następnego dnia. A było to tak. Przed pierwszą lekcją, a miała to być matematyka, Ola szepnęła do mnie:

- Popatrz na nogi Roberta.

Długi Robert stał akurat przy tablicy i smarował ją masłem. Zawsze tak robił, kiedy wiedział, że ma być pytany. Wyrwany do odpowiedzi nie mógł oczywiście nic napisać, bo jak wiadomo kreda nie zostawia śladów na zatłuszczonej powierzchni, więc z miną niewiniątka rozkładał ręce i udawał, że wszystko umie, tylko warunki obiektywne nie pozwalają mu tej wiedzy ujawnić. Pitagoras, czyli matematyk, pienieł się, urządzał wielkie śledztwo w celu wykrycia winowajcy, ale oczywiście nic z tego nie wychodziło, bo nikt nic nie widział i nie słyszał. Potem dyżurni gorącą wodą z proszkiem doprowadzali tablicę do stanu używalności, nauczyciel wygłaszał mowę oskarżycielską na temat głupoty, a czas uciekał. I o to właśnie chodziło.

Ale wracam do sprawy. Rzeczywiście, Długi Robert na nogach miał trampki może numer mniejsze od kajaka.

- On? Skąd ten głupek wiedziałby o zegarze? – zdziwiłem się.

- Nie wiem, ale faktem jest, że jego stopa może pasować do śladu. Wczoraj nie było go w szkole, przedwczoraj też nie. Jest to dodatkowa poszlaka³⁸ – trwała przy swoim Ola.

- Robert tak często opuszcza lekcje, że może to być zwykły zbieg okoliczności – przyznaję, nie myślałem by miała rację.

- Nie zawadzi sprawdzić.

Na przerwie zwołaliśmy wszystkich z Leśniówki i poszliśmy na podwórze, aby się naradzić. Większość podzieliła moje zdanie, że nikt z naszej klasy, nawet Długi Robert, nie może mieć z tym nic wspólnego.

- Mówię wam, ktoś mu nadał tą robotę. Jestem pewna, że było to tak: miał ukraść zegar, ale nie zrozumiał jaki. Gdy my siedzieliśmy w szkole, on siedział za krzakami agrestu i obserwował dom. Kiedy zobaczył, że wszyscy wyszli, wskoczył przez okno, ściągnął ze ściany zegar i zwiął. Osoba, która mu zleciła tą robotę, kazała naprawić błąd. Może nawet zasugerowała, by szukać w pokoju Adama?

- Jeśli tak jest, jak mówisz, to co dalej? – Argumenty Oli przekonały Wojtka, też sceptycznie oceniającego jej hipotezę..

- Na razie miejmy oczy i uszy otwarte. Sprawa wymaga głębszego zastanowienia. Wszystkie pomysły będą mile widziane.

Zadzwoił dzwonek i wróciliśmy do klasy. Przez cały czas zastanawiałem się, kto mógłby wynająć akurat Długiego Roberta do kradzieży. Zrobiłem przegląd wszystkich naszych znajomych, lecz nikt się nie kwalifikował na podejrzanego.

Wracając po lekcjach do domu, przez całą drogę snuliśmy rozważania na ten temat. Padało wiele słów, ale mało konkretów. Wszyscy, przez nikogo nie naciskani, zarzekali się, że nie pisnęli ani słówkiem na temat zegara, a już broń Boże skarbu.

- Dajcie spokój, przecież nikogo nie podejrzewam! - Zawołałem wreszcie. – Myślcie lepiej jak odzyskać zegar.

³⁸ Poszlaka – ślad, trop, pozór.

- Poskarżmy policji, kto jest złodziejem – propozycja Marysi jak zwykle była najprostsza i najbezpieczniejsza.

- Problem w tym, że nie mamy na to dowodów – rozczarowała ją Ola.

- A ślad w truskawkach?

- Najpierw sami spróbujmy to wyjaśnić. Byłoby głupio, gdybyśmy niewinnie oskarżyli Roberta, a przecież jest to możliwe, bo nie mamy stuprocentowej pewności, że to on.

- No nie - przytaknęliśmy zgodnie.

- Prześpijmy się z tematem. Nocą przychodzą najlepsze pomysły. Przynajmniej do mojej głowy - pocieszyła nas Ola.

KORONKOWA INTRYGA³⁹

Rzeczywiście, noc okazała się urodzajna w pomysły, ale najbardziej podobał nam się pomysł Oli. Był prosty i najmniej ryzykowny. Należało tylko dopracować szczegóły i na to poświęciliśmy pełne trzy dni.

W efekcie plan składał się z dwu części. Pierwszej nadaliśmy kryptonim: „podpucha”, drugiej: „zarzucanie sieci”.

Rozdzieliliśmy role. Najpierw do akcji wkroczyła Marysia i Maciek. Na długiej przerwie, niby to przypadkiem, przechodząc obok Arka Kopeckiego i Remka Zelka, Maciek głośno spytał Marysię, czy już się odnalazł zegar. Marysia równie głośno odpowiedziała:

- Nie, ale złodziej bez mapy i tak nie odnajdzie skarbu.

My tymczasem obserwowaliśmy ich zachowanie. Gdyby nie zareagowali, mieli to samo powtórzyć w pobliżu Roberta. Gdyby i Robert nie zareagował, znaczyłoby, że trop jest zły, odstępujemy od tego planu i poszukujemy następnych śladów.

Siedziałem jak na szpilkach, chociaż z pozoru obojętnie bazgrałem coś na kartce. Długi Robert w tym czasie odpisywał od Sylwii Skorek zadanie z fizyki. Wtedy przybiegł Arek i pochyliwszy się, szeptał mu coś z przejęciem do ucha.

³⁹ Intryga – podstępne działanie dla osiągnięcia określonego celu.

Ryba połknęła haczyk. Ola znacząco trąciła mnie łokciem. Poszukałem wzrokiem kolejno Wojtka, Jurka i Michała. Lekkim mrugnięciem dali znak, że wszystko w porządku, że widzą co się dzieje i wyciągają właściwe wnioski.

Byłem szczęśliwy. Od razu strzeliliśmy... to znaczy Ola strzeliła w dziesiątkę. Nadzieja na odzyskanie zegara stawała się coraz bardziej realna.

Wracaliśmy do domu w świetnych nastrojach. Marysia z Maćkiem przekrzykując się, opowiadali, jak to świetnie poradzili sobie ze swoim zadaniem, a nawet więcej. Z własnej inicjatywy dali Remkowi do zrozumienia, że lada moment przeprowadzimy się na Bermudy⁴⁰.

Tymczasem opracowywaliśmy szczegóły. Wybraliśmy miejsce na zasadzkę. Najodpowiedniejszy do tego był cmentarz, który leży w połowie drogi pomiędzy Leśniówką a Brzozowem.

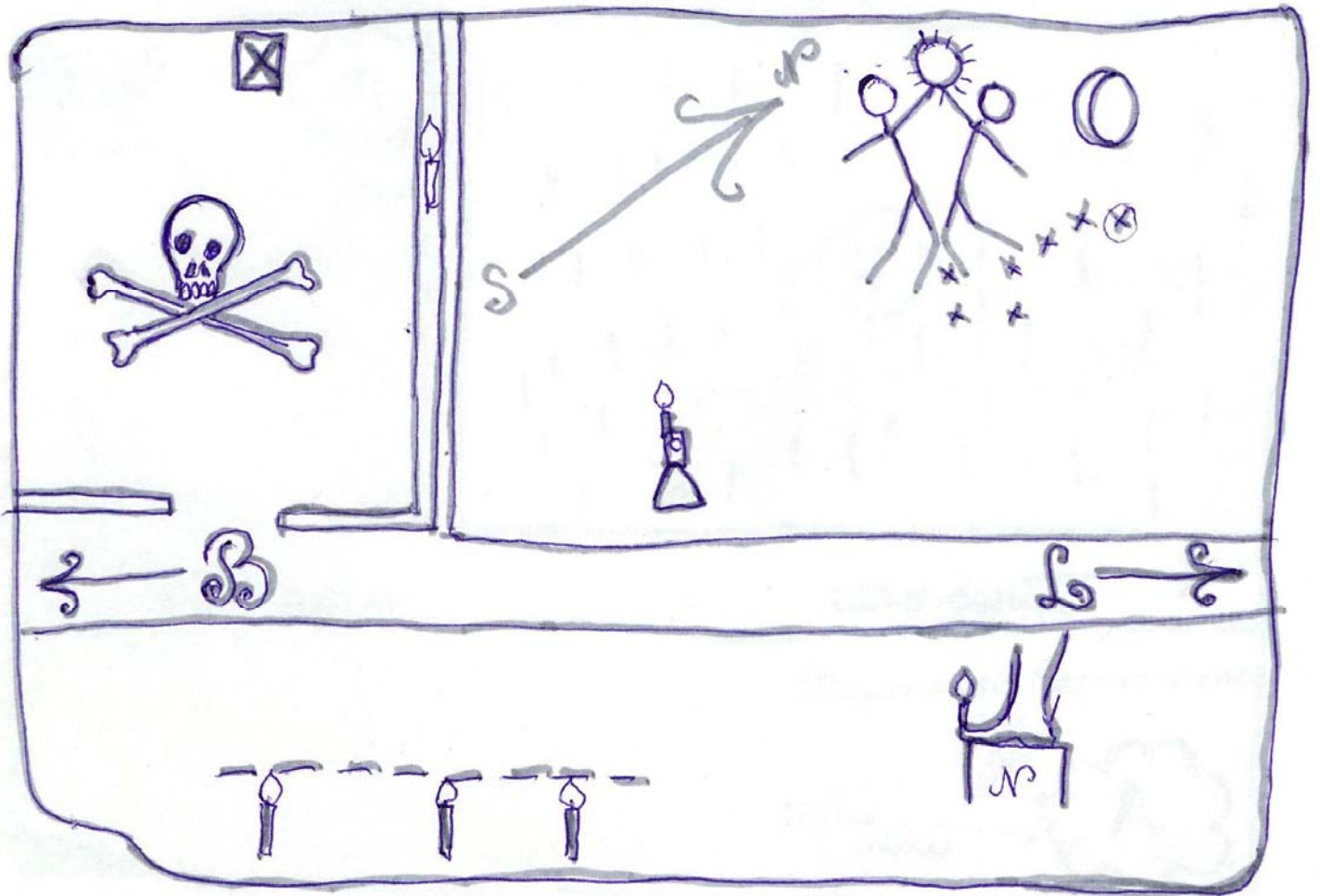
Bliżej Leśniówki jest skrzyżowanie z polną drogą. Po jednej stronie skrzyżowania znajduje się figura świętego Nepomucena, po drugiej, rozrośnięty krzak róży. Naprzeciw – łąn jęczmienia ozimego. Pomiędzy polem a cmentarzem rozciąga się łąka, a na niej sterczy polodowcowy głaz narzutowy. Przy cmentarnym murze rośnie rozłożysta grusza.

Sporządziliśmy plan terenu, który był podstawą do sporządzenia mapy. Maciek zaproponował, aby narysować ją według najlepszych pirackich wzorców, czyli rozżarzoną drutem na kawałku skóry, a Wojtek poświęcił na to torebkę Doroty, o co była potem wielka awantura, lecz nie będę o tym pisał

Skórę należało odpowiednio postarzyć, więc torebkę wpierw namoczyliśmy, potem natarliśmy błotem, potem znów namoczyliśmy, a gdy wyschła, wycięliśmy wielki płat, a brzegi przypaliliśmy świecą.

Po tych zabiegach jasnożółta skóra przypominała burą szmatę. Na niej, rozpalonym do czerwoności gwoździem, Ola narysowała wskazówki dla poszukiwacza skarbów. Wyglądało to tak:

⁴⁰ Bermudy – archipelag około 300 wysepek na Oceanie Atlantyckim.



Czaszka i piszczele to rzecz jasna cmentarz, x w kwadracie – miejsce ukrycia skarbu. Ludziki trzymające koło - Słońce w znaku Bliźniąt, czyli okres od 22 maja do 21 czerwca, gdy księżyc będzie w pełni. Niżej Mały Wóz z zaznaczoną Gwiazdą Polarną to północ, trójkąt – głaz narzutowy, noga – figura świętego, prostokąt z kółkiem – zegar.

Aby odnaleźć skarb należało umieścić jedną świeczkę na dużym palcu lewej nogi figury, drugą na zegarze a zegar na kamieniu, trzecią na cmentarnym murze. Ilustrują to trzy świece w dole rysunku.

Teraz mapa całkiem „przypadkowo”, miała wpaść w ręce Długiego Roberta. To zadanie powierzono mnie. Na wszelki wypadek do mapy dołączyliśmy szczegółowe objaśnienia i notatki, bo było mało prawdopodobne, że Robert ze swoimi chłopakami prawidłowo złamią nasz szyfr.

Już nazajutrz, na dużej przerwie, rozłożyłem mapę na ławce i udawałem, że objaśniam ją Oli, Michałowi, Jurkowi i Wojtkowi. Niespodziewanie napatoczył się Artur Dębski .

- E, co tam macie? – spytał wsadzając głowę między Michała i Wojtka.

- Coś taki wścibski? – odepchnąłem go lekko, ale skutecznie. .

- Nie bądź świnią, pokaż!

- Odczep się! – warknąłem. W zasadzie lubiłem Artura i było mi głupio, że muszę go tak niegrzecznie traktować.

- O co chodzi? – zainteresował się Arek Kopecki, który ostatnio ciągle się kręcił blisko nas i podsłuchiwał. Remek Zelek obstawiał Marysię i Maćka.

- Mają jakąś mapę i nie chcą jej pokazać. Bez łaski, wypchajcie się! – Ostatnie słowa skierował do nas.

To wystarczyło. Arek, jakby go ktoś dźgnął, pobiegł do Długiego Roberta i coś mu szepnął na ucho. Domyślaliśmy się co, tym bardziej że ten obejrzał się w naszą stronę demonstrując wyraźnie zadowoloną minę.

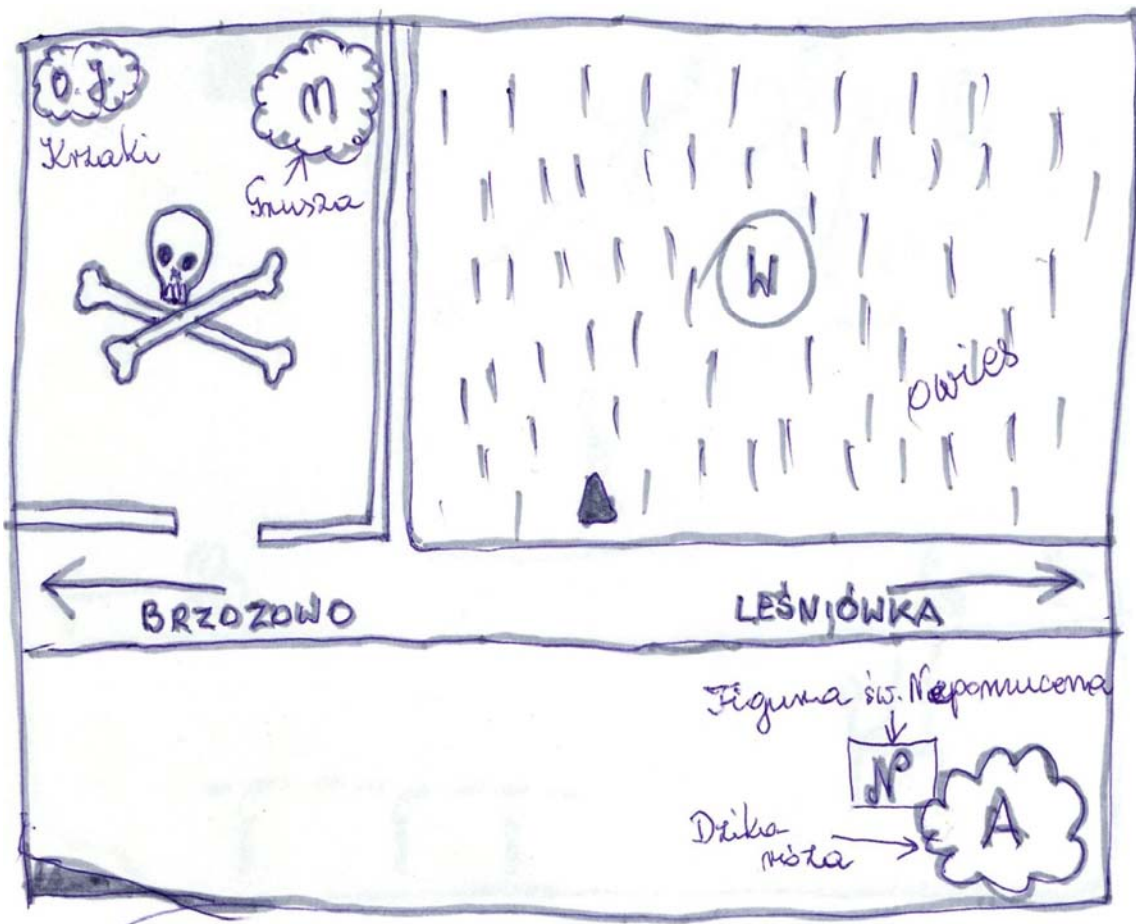
Dalej wszystko potoczył się gładko. Na kolejnej przerwie wszyscy z Leśniówki mieli coś do załatwienia poza klasą. Prowokacyjnie zostawiłem nie dopięty plecak a w nim, zwiniętą w rulon mapę wraz plikiem notatek. Jak się spodziewaliśmy, mapa wyparowała.

ZARZUCAMY SIĘ

Pełnia księżycy wypadła 27 maja i, według naszej sugestii, wtedy o północy, banda Roberta powinna poszukiwać skarbu. Przygotowaliśmy się do tego bardzo starannie.

Tego wieczoru poszliśmy do łóżek wyjątkowo wcześnie. Gdy tylko rodzice usnęli, wymknęliśmy się z domu. Wojtek, Maciek, Michał i Jurek czekali już na nas na skraju wsi. Mieliśmy ze sobą plecaki, w których ukryliśmy wszystko, co ewentualnie mogło nam być potrzebne. Nawet miotłę z wikliny.

Noc była pochmurna ale ciepła. Obywaliśmy się bez latarek, żeby nie ściągnąć na siebie czyjeś przypadkowej uwagi. Wiadomo, w nocy światło widać z bardzo daleka. Gdy dotarliśmy do celu, jeszcze raz szeptem powtórzyliśmy plan i każdy się udał na swoje stanowisko. Wyglądało to tak, jak na planie.



Ja siedziałem za krzakiem dzikiej róży, Wojtek leżał w jęczmieniu, Michał wspiał się na gruszę, a Ola, Jurek i Maciek ukryli się w głębi cmentarza. Marysia ze strachu przed duchami została w domu. Czekaliśmy w głębokiej ciszy.

Gęsty krzak maskował mnie doskonale, ale na wszelki wypadek okryłem się zielono-brązowym kocem. Gdy nieco uniosłem głowę, mogłem pomiędzy gałęziami dostrzec ciemny cień figury świętego Nepomucena, a daleko w dole, nieliczne światła Brzozowa.

Obserwowałem drogę. Chwilami opadały mnie wątpliwości, czy Robert dał się podpuścić. Intryga była szyta grubymi nićmi i istniało niebezpieczeństwo, że nas przejrzał. Jeżeli nawet nie przejrzał, to mógł nie mieć zegara. Mógł go przecież ukraść na zlecenie jakiegoś kolekcjonera antyków mieszkającego na drugim końcu Polski.

Nie dzieliłem się ze swoimi obawami z nikim, chociaż podejrzewam, że podobnie mogli myśleć pozostali.

Gdzieś około dwudziestej trzeciej trzydzieści od strony Brzozowa nadjechał samochód. Długie światła reflektorów, niby żółte stożki penetrowały drogę. Próbowałem zgadnąć, kto o tej porze mógłby jechać do Leśniówki, tymczasem, ku mojemu osłupieniu, samochód zatrzymał się na wprost figury świętego Nepomucena. Narzuciłem koc na głowę i przypadłem do ziemi.

Umilkł warkot silnika i wtedy i dobiegły mnie głosy kilku osób. Wytężyłem słuch.

- Jak to miało być? Pierwsza świeca na nodze... - rozpoznałem baryton Długiego Roberta.

- Na dużym palcu lewej nogi - tego głosu nie kojarzyłem, chociaż wydał mi się znajomy.

- Może postawmy latarkę, będzie lepiej widać.

- Świecę palancie!

- Dlaczego akurat świecę?

- Bo latarka daje zbyt szeroki snop światła, a prostą należy wyznaczyć w miarę precyzyjnie. Przecież ci tłumaczyłem pacanie.

- Uważaj, bo zarobisz w łeb - warknął Robert.

- Spoko. Pokażcie ten kamień.

Zsunąłem koc i wysunąłem nieco głowę ponad krzak. W nie wygaszonym świetle reflektorów wyraźnie dostrzegłem pięć sylwetek: Robert, Remek, Arek i... Nie dacie wiary! Mój rodzony kuzyn Marek i ten brodaty typ w ciemnych okularach, który wymienił płytę na zegar. Teraz również, pomimo ciemności, nie zdjął szkieł.

Domyśliłem się, że prawdopodobnie Marek natrafił na informacje o zegarze wtedy, gdy po wigilijnej kolacji niby rozboleł go brzuch. Przecież na własne oczy widziałem, jak grzebał w komputerze... Ależ byłem wtedy głupi.

Nigdy nie dowiedziałem się, jak dotarł do Długiego Roberta, ani czyim pomysłem była kradzież. Jego, czy tego chudzielca? Jednakże czyja by nie była, nie powinien nikogo okradać, zwłaszcza rodziny. „Mój Boże, Hieronim Nowosielski przewraca się w grobie widząc, co wyprawia jego potomek” – pomyślałem z niesmakiem, ale nie było czasu na rozważania, obserwowałem dalej.

- To gdzieś tam – wszyscy skierowali latarki w jedną stronę, to znaczy w kierunku łąki.

- Gdzie zegar? – zaniepokoił się brodaty typ.

- Mam go – powiedział uspokajająco Marek, który w tej chwili był dla mnie niewidoczny.

Serce podskoczyło mi z radości. Wiedziałem już, że odzyskam rodzinny skarb, choćbyśmy nawet pokpili sprawę, ale na razie wszystko szło zgodnie z planem. Tymczasem oni wyciągali z bagażnika łopaty.

- Arek, zostaniesz i będziesz pilnował, żeby nie zgasła świeca. W razie gdyby się ktoś napatoczył, to wiesz co należy robić... – polecił Robert. Widocznie też mieli jakiś plan działania na wypadek nieprzewidzianych komplikacji.

Ruszyli w kierunku głazu. Uniosłem się wyżej. Na gładzie płonął już następny wąty ognek. Odgłosy i światła laterek wskazywały, że idą w kierunku cmentarnego muru. Znudzony Arek stał na skraju drogi i patrzył za kumplami.

Wtem na gruszy, na ułamek sekundy, błysnęło czerwone światełko. To Michał dawał mi znak. Podbiegłem do Nepomucena, zdmuchnąłem świeczkę i bezszelestnie wróciłem na swoje miejsce. Spojrzałem w kierunku głazu. Tam też już było ciemno, widocznie Wojtek wykonał swoje zadanie, czyli zabrał zegar i ukrył się z powrotem w jęczmieniu. Właśnie wtedy powietrze rozdarł potworny wrzask. Był to niezawodny

dowód, iż to Ola z Maćkiem przystąpili do akcji odgrywając rolę duchów, czyli wymachiwali prześcieradłami zawieszonymi na miotłach.

Szybko przemieszczające się plamy światła świadczyły, że poszukiwacze uciekają w wielkim popłochu. Biegli wzdłuż muru, po czym dopadli drogi i pognali w kierunku Brzozowa, aż się za nimi kurzyło. Arek jak smagnięty batem, ruszył za nimi.

Nie wszyscy jednak uciekli. Marek i Chudzielec, niedługo czas później, wyłonili się z ciemności.

- Cholerne wieśniaki, palanty, kmiotki... - kłął Marek . - Wiedziałem, że nas wykiwają. Ciekawe gdzie wcięło zegar?

- Po grzyba ci zegar, najważniejsze, że mamy mapę.

- A oni mają i zegar i mapę. Założę się, że ta mapa, którą nam podsunęli, jest fałszywa.

- Nie opowiadaj głupot, na czym jak na czym, ale na starociach, to ja się znam jak mało kto - zapewnił chełpliwie chudzielec w okularach. - Wpadniemy tu za dnia.

- Pełno tam chaszczy. Jak poznasz to miejsce?

- Poznam. Trzeba kopać koło tego dzikiego bzu ...

- Którego? Poza dzikim bzem nic więcej tam nie rośnie!

- Opowiadasz dyrdymały.

- Jakie dyrdymały?! Jakie dyrdymały?!

- A to wysokie drzewo w rogu to gips?

Kłócąc się wsiedli do samochodu i po chwili nie było po nich śladu.

OLŚNIENIE I JEGO SKUTKI

Byliśmy zachwyceni akcją. Przez parę dni każdy opowiadał o swoich przeżyciach. Ale największą satysfakcję sprawił nam fakt, że Długi Robert ze swoją bandą, postrach całej szkoły, wiał jak zajac przed prześcieradłami na miotłach, zaś Mareczek i Chudzielec w okularach byli przekonani, że padli ofiarą oszustwa współników. Długo potem było to dla nas źródło dobrego humoru.

Życie jednak nieubłaganie biegło dalej i zainteresowanie dla nierozwiązanej zagadki zegara znów wyraźnie osłabło. Tylko jeszcze ja, najczęściej leżąc w łóżku, patrząc na zegar próbowałem wcielić się w Hieronima. Ciągłe zadawałem sobie pytanie, jak postąpiłbym na jego miejscu, gdybym chciał ukryć jakąś wiadomość. I któregoś dnia zobaczyłem coś, na co wszyscy patrzyliśmy i czego nie dostrzegaliśmy.

Pamiętacie jak opisałem cyferblat? Jego środek zdobiło złote słońce z dwunastoma promieniami. Otóż promień wskazujący szóstkę, był dłuższy niż pozostałe. Prawie dotykał krawędzi tarczy, niczym strzałka wskazując w dół. Tylko co?

Na drugi dzień, w drodze do szkoły, podzieliłem się z pozostałymi członkami tajnego związku. Ta wiadomość na nowo ich ożywiła. Po południu w komplecie wstawili się w moim pokoju. Zdjąłem zegar ze ściany i położyłem na biurku.

- No jasne, ten promień jest dłuższy i z pewnością stanowi klucz do tajemnicy – powiedziała Ola. – Wytężajcie szare komórki i mówcie wszystko, co wam przyjdzie do głowy. Nawet najdziwniejszy pomysł może być na wagę złota.

- Nie sądzę. Przecież obejrzelśmy i wypucowaliśmy najmniejsze nawet kółko. Podejrzewam, że jedyną tajemnicą tego zegara jest brak tajemnic – powiedział Jurek.

- Myślisz, że dziadek wymyślił sobie tę historię z Hieronimem? – oburzyła się Marysia.

- Niekoniecznie. Może już dawno ktoś ten skarb odnalazł i nikomu się nie przyznał. Dlatego pozostał napis na portrecie, a wyparowała mapa ukryta w zegarze. Cudów nie ma.

Czułem się jakby mi ktoś wbił w plecy nóż. To, co mówił Jurek, było przykre, ale niestety prawdopodobne. Nawet bardzo prawdopodobne. Widziałem, że inni myśleli tak samo.

Nagle jak grom z jasnego nieba przyszło na mnie olśnienie: Wahadło!!! Przecież stary zegarmistrz zauważył, że wahadło jest nietypowe. Drżącymi ze zdenerwowania rękami wyjąłem je z zegara. Tak! Talerz wahadła był właściwie bardzo płaską puszką. Teraz należało jakoś ją rozłożyć, zastanawiałem się jak.

Moje odkrycie zelektryzowało wszystkich. Jak urzeczeni wpatrywali się w moje ręce, a ja tymczasem szukałem jakiegoś punktu zaczepienia. Jakiegoś przycisku, pokrętła, rysy, czy czegokolwiek. Niestety, puszka wydawała się być monolitem⁴¹.

- Spróbuj po prostu rozkręcić? – poradziła Ola.

Spróbowałem i, ku mojemu zaskoczeniu, wieczko odskoczył odsłaniając... nie uwierzycie, galaretowate wypełnienie. Patrzyliśmy w osłupieniu.

- I to ma być ten niby klucz do wielkiego skarbu? – pierwszy ochłonął Jurek. – To jakiś kisiel, czy co?

- E tam, bardziej przypomina rtęć – powiedziała Marysia i, zanim ktokolwiek zdążył zareagować, dotknęła substancji palcem.

Wtedy stała się rzecz dziwna. Na „galarecie” powstały fale jak po powierzchni zmaconej wody, ale ich charakter był całkiem inny. Fale zamiast, zgodnie z prawami fizyki odbić się od ścianek, minęły je i objęły cały pokój. Po chwili falowało powietrze i wszystko dokoła.

- Rety, co się dzieje? – zaniepokoił się Maciek.

- Mamy chyba jakieś zaburzenia wzroku – Marysia przetarła oczy.

- Żadne zaburzenia, poruszamy się w czasie! Popatrzcie w okno! – Zawołała Ola.

Rzeczywiście, jabłoń, jak na przyśpieszonym filmie kwitła, okrywała się śniegiem, traciła liście, żółkła, zieleniała, by chwilę później znów zakwitnąć. I tak w kółko. Słońce tak szybko przemykało po niebie, że nie było ani jasno, ani ciemno tylko po prostu szaro. Zdążyliśmy jednak zauważyć, że wschodzi na zachodzie a zachodzi na wschodzie. Czyli cofaliśmy się w przeszłość.

Również pokój zaczął się zmieniać. Znikła zielona kratka na tapetach, a pojawiły się różowe pajacyki, potem i one znikły odsłaniając tynk, który zresztą za chwilę odpadł do gołej cegły. Jeden po drugim zniknęły sprzęty i wreszcie zniknął sufit i zaczęło ubywać ścian.

- Zaraz nie będzie podłogi, uciekajmy! – krzyknęła Marysia.

Wszyscy rzucili się do drzwi. Ja też.

- A zegar? – Ola nie straciła zimnej krwi.

⁴¹ Monolit – jednolity blok, wykonany w całości z jednego materiału.

Nie mogliśmy go zostawić, gdyż było jasne, że bez niego nie będziemy mogli wrócić do naszych czasów. Niemal w ostatniej chwili złapałem puszkę wahadła a Ola resztę, bo właśnie rozpływał się stół. Zbiegliśmy za podwórko. Chyba w samą porę, bo mury cegła po cegle stopniały do ziemi, wreszcie w miejscu domu powstała wielka dziura, ale i ona wkrótce znikła, a nawet zarosła trawą.

Wszystko dookoła jakby oszalało. Drzewa robiły się coraz młodsze i mniejsze aż wreszcie ginęły pod ziemią, inne w dorodnej postaci wyskakiwały nagle jak diabeł z pudełka, by dalej młodzić i maleć. Budynek po budynku znikają również Leśniówka. Wreszcie otoczył nas las. Po naszej wiosce pozostała tylko zarastająca krzewami polana i droga, z której w okamgnieniu „wyparował” asfalt.

- Kiedy wreszcie to przestanie działać? – Marysia była przerażona.

- Dopóki nie odgadniemy, jak sterować czasem – powiedziałem bezradnie.

- Więc zrób coś, bo cofniemy się do epoki lodowcowej, albo jeszcze dalej – Marysia ledwo powstrzymywała płacz. – Po co ja dotykałam tego świństwa?

- Babska ciekawość sprowadziła na świat niejedno nieszczęście. Pandora⁴² też otworzyła puszkę i wiadomo, co z tego wynikło – mruknął ironicznie Michał.

- Może dotknę jeszcze raz?

- Spróbuj, chociaż konsekwencje mogą być nieobliczalne – Michał wzruszył ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma lepszego pomysłu.

- No jasne, spróbować zawsze można – Maciek zaśmiał się nerwowo.

Wyciągnąłem przed siebie pulsującą nieustannie falami puszkę..

- Lepiej najpierw po prostu ją zamknąć – zauważyła przytomnie Ola.

Ale ze mnie gapa! Przez cały czas trzymałem ten swoisty wehikuł czasu otwarty na całą szerokość, zamiast zrobić najprostszą pod słońcem rzecz, zatrzasnąć wieko. Tak też zrobiłem.

O dziwo, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, świat wokół nas znieruchomiał. Słońce stało wysoko na pogodnym niebie, z gęstwiny dobiegał śpiew ptactwa, pachniało leśnymi ziołami.

- O rety, a gdzie jest Jurek? – przestraszył się Wojtek.

⁴² Pandora – w mitologii greckiej pierwsza kobieta stworzona przez bogów. „Puszka Pandory” gliniane naczynie, dar bogów; wbrew ostrzeżeniom Pandora otworzyła ją i uwolniła plagi i strapienia, gnębiące dotąd ludzkość.

Dotąd byliśmy tak zaaferowani tym, co się dzieje dookoła, że nikt nie zauważył jego braku.

- Przecież był z nami, widziałam go – zapewniła Marysia.

- Kiedy go widziałaś?

- Przed chwileczką, gdy jeszcze byliśmy w pokoju Adama.

- Ta chwileczka może znaczyć pięćset lat – zauważył cierpko Wojtek. – Kto widział Jurka później?

Niestety, nikt nie mógł sobie przypomnieć nic szczególnego.

- Może Jurek wyszedł, zanim zaczęliśmy się cofać? – zastanawiał się głośno Maciek. – Pamiętacie? Wyrażał się bardzo krytycznie o zegarze i odszedł od biurka.

- Owszem, odszedł, ale czy wyszedł?

- Chyba nie. Widziałem go na schodach, biegł przede mną przeskakując po kilka stopni naraz – przypomniał sobie Wojtek.

- Jesteś pewien?

- Tak mi się wydaje. Chociaż nie dałbym za to głowy...

- Poszukamy go, jak będziemy wracać, na razie zastanówmy się co dalej – zaproponowała rzeczowo Ola.

- Zanim znów zaczniemy majstrować przy zegarze, ustalmy gdzie jesteśmy. Może szczęśliwym trafem w epoce Hieronima?- spytała z naiwnym optymizmem Marysia. – Ciekawe, jak powinnam się do niego zwracać? Wujku, dziadku, czy przodka?

- Popatrzeć można... W końcu co nam szkodzi?- ożywił się Maciek.

- Przy okazji ustalimy, z jaką prędkością cofaliśmy się w czasie. O rany! Wyobrażacie sobie jednostkę, na przykład, pięć wieków na godzinę? – Michałowi wróciła ochota do żartów. – Wiecie, to urządzenie do podróży w czasie jest lepsze niż skarb. Odtąd możemy nawet tydzień wcześniej znać tematy klasówek i numery totolotka. Ale bomba!

- A jakie będzie pomocne z historii? – entuzjazm Michała udzielił się Maćkowi. – Bitwa Pod Grunwaldem? Proszę bardzo, sypiesz takimi szczegółami, że specjalistom od Jagielly opadają szczęki. Nie wiadomo gdzie szukać grobowca Ramzesa

Wielkiego albo Czyngis-chana? Nie ma sprawy, proponujemy kopać tutaj. Uczni nam nie wierzą? Trudno, wykopiemy szacowne szczątki sami. Dobre, nie?

- Ja na przykład zostanę detektywem. Nie będzie dla mnie zbrodni, której bym nie rozwikłał – zatarł ręce Michał.

ZOSTAJĘ SZLACHETNIE URODZONYM

- Hej, hej! - Usłyszeliśmy okrzyki, tętent koni i turkot kół. Zza zakrętu wypadła karetka zaprzężona w czwórkę koni i towarzyszących jej sześciu konnych. Usunęliśmy się na pobocze, aby nas nie zatratowali. Na nasz widok, woźnica gwałtownie ściągnął lejce i pojazd wyhamował. Przez okienko wychyliła głowę starsza pani w koronkowym czepcu⁴³:

- Na Boga Najwyższego i Przenajświętszą Panienkę, a cóż to za nieobyčajny⁴⁴ widok! Pewnikiem zbójcy z szat was odarli!- zawołała.

- Nie proszę pani – dygnęła grzecznie Marysia.

- Toż to nie politycznie młodym panienkom golizną świecić.

- Tak proszę pani – teraz dygnęła Ola. – Prosimy jednak o wybaczenie, bo spotkała nas przykra przygoda.

- Inaczej być nie może, nie do pomyślenia jest bowiem, aby bez przyczyny młode panienki samotnie tułały się po lesie.

- Nie jesteśmy same – Marysia wskazała na nas chłopców.

- Toć służba pewnikiem? Na służbie polegać nie można, bo w razie potrzeby pierwsza w las by pierzchła. Te huncwoty nawet porządnego kija nie mają, o szabli nie wspomniawszy. Czy można znać, jak się zwie rodzic panienek?

- Jan Nowosielski – odpowiedziała zgodnie z prawdą Marysia. Ola zamiast wymienić swoje nazwisko, skinęła tylko głową. Starsza dama wywnioskowała z tego, że są rodzonymi siostrami.

- Z których Nowosielskich? Pewnie tych z Prochińska? – Starsza dama nie czekając na potwierdzenie ciągnęła dalej. - Biedny Jan, straszną śmierć poniósł od

⁴³ Czepiec – nakrycie głowy.

⁴⁴ Nieobyčajny – siejący zgorszenie.

okrutnika, który nie tylko zbrodni się dopuścił, lecz majątek prawem kaduka⁴⁵ zagarnął i was sieroty precz wypędził. Do króla trzeba rekognicję⁴⁶ zanieść i o krzywdę się upomnieć. Po bracie ojca mojego dziadka, Nowosielscy są spokrewnieni z Ostrogskimi. Dalekie to pokrewieństwo, ale zawsze pokrewieństwo. Nie uchodzi, żeby rodziny w potrzebie nie poratować. Jak wam nachrzeszczono, bo nie pamiętam?

- Ja jestem Aleksandra.

- A ja Marysia, a to mój brat Adam – przyznała się do mnie i dzięki jej za to. Zanim zdążyła przedstawić Wojtka, Maćka i Michała, starsza dama kazała nam wsiąść do karety, a im dołączyć do służby. Wojtek usiadł na koźle obok stangreta, Maciek i Michał dosiedli luzaka.

Ku naszemu zaskoczeniu w powozie jechały jeszcze dwie pasażerki. Obie bardzo młode. Jedna słodka blondyneczka ubrana w niebieską długą sukienkę, ozdobioną falbanką i białą koronką przy mankietach, druga w zielonej spódnicy, białej bluzce i granatowym kubraczku. Starsza dama natychmiast przystąpiła do prezentacji.

- To panna Helenka Opalińska, moja daleka powinowata – wskazała na blondynkę. – Łukasz do majątku w Przeworsku mi ją przywiózł, by w bezpieczeństwie wojnę przeczekała. A tu bandy siedmiogrodzkie następują i tylko patrzeć, jak południe w ogniu stanie. Samą czeladzią i pacholkami miasta nie obronię, tedy zabrałam moją gąskę i na Rzeszów do imć⁴⁷ pana Spytka, szwagra bratowej spieszymy. To zaś panna Marianna, służąca i przyjaciółka Helenki. Macie jakie wieści o wrogu?

- Nie mamy – przyznała Ola.

- Co tam wojna, o ochędóstwie⁴⁸ dla was pomyśleć trzeba, bo w tych łąchach paradować nie uchodzi. Zaraz na popas staniemy.

Mówiąc łąchy, myślała o krótkich spódniczkach i trykotowych bluzeczkach, jakie akurat miały na sobie dziewczęta. W zestawieniu z szatami jej, Helenki a nawet

⁴⁵ Prawem kaduka – bezprawnie, odebrać siłą.

⁴⁶ Rekognicja – dawniej uznanie tożsamości jakiejś osoby lub rzeczy, stwierdzenie prawdziwości; w tym przypadku potwierdzenie prawa do majątku.

⁴⁷ Imć – staropolski zwrot grzecznościowy.

⁴⁸ Ochędóstwo – dawniej ubranie, strój, również czystość, porządek.

służącej, nie był to wykwintny przyodziewek. Podobnie zresztą jak moje dzinsowe spodnie i bawełniana koszula.

Stroje i uzbrojenie konnych pozwalały się domyślać, że jesteśmy w siedemnastym wieku. Dużo trudniej było odgadnąć rok.

Pani Ostrogska wspomniała o toczącej się wojnie, a o ile mnie pamięć nie myliła, w tym czasie była pierwsza wojna szwedzka, wojna moskiewska, bunt Chmielnickiego, który dla współczesnych mógł być wojną, następna wojna moskiewska i następna szwedzka zwana „Potopem” i znów wojna moskiewska, wojna turecka zakończona słynną odsieczą Wiednia, oraz wojna północna... Doliczywszy różne rebelie⁴⁹ i prywatne wojny magnackie, był to bardzo niespokojny wiek. Musieliśmy trafić w jakąś dziejową zawieruchę. Nie ma co.

Również królów było sporo. Mógł to przecież być: Zygmunt III Waza, Władysław IV, Jan Kazimierz, Jan Sobieski, a nawet August Mocny. Moja wiedza historyczna nie pozwalała wyciągnąć więcej wniosków.

Sama karetka należała do luksusowych. Miała czerwono tapicerowane siedzenia i złoczone klamki, ale gdzie jej tam do samochodów. Nawet tych najtańszych. Karetę niemiłosiernie trzęsło na wyboistej drodze, pionowe oparcie męczyło plecy, a nogi drętwiały, gdyż nie dało się ich wyprostować nie kąpiąc siedzących naprzeciwko.

Siedziałem dokładnie na wprost Helenki, która przez cały czas, w przeciwieństwie do ciotki, milczała. Zdaje się, że należało to do dobrego tonu. Natomiast panna Marianna nie chciała uchodzić za dobrze wychowaną, bo bez przerwy strzelała czarnymi oczami i, widać było, że gdyby nie pani, chętnie wdałaby się w pogawędkę.

Jakieś pół godziny później zatrzymaliśmy się przy zajeździe. Na spotkanie wyszedł kłaniający się nisko pejsaty Żyd w jarmułce⁵⁰.

Pomyślałem, że skoro wzięto mnie za szlachcica, dla dobrej sprawy, powinienem błysnąć dworskimi manierami. Wskoczyłem pierwszy z karety i pomogłem dostojnej damie wysiąść.

⁴⁹ Rebelia – bunt, rokosz.

⁵⁰ Jarmułka – okrągła czapeczka bez daszka, krymka żydowska.

Ta natychmiast rozkazała karczmarzowi przygotować jedną izbę, by „...panienki garderobę bez krępacji mogły uzupełnić” i jeden podróżny kufer wnieść do wnętrza. Gdy służba uwinęła się z poleceniem, rzekła tocząc po wszystkich groźnym wzrokiem:

- Teraz, aby o rumieniec wstydu panienek nie przyprawić, wszyscy plecami odwrócić się mają. A kto okiem ciekawym choć łypnie w tą stronę, tego każę wybatożyć⁵¹ jak psa.

Służący pani Ostrogskiej posłuchali bez szemrania, tylko Maciek, Wojtek i Michał przyglądali się tej scenie z wyraźnym zaciekawieniem. Rozwścieczyło to damę:

- A wy co huncwoty, uszów nie macie!? Czy może harapa⁵² chcecie pokosztować!?

Skarzeni czym prędzej poszli w ślady pozostałych mężczyzn i dopiero wtedy krewka⁵³ kobieta pozwoliła dziewczętom opuścić pojazd.

Podczas gdy panienki „bez krępacji” były zajęte uzupełnianiem garderoby, stangret⁵⁴ karmił i poił konie, a zbrojna asysta poszła do karczmy „wrzucić coś na ruszt”, my mogliśmy zamienić parę słów.

- Cwaniak jesteś. Rozpierasz się w karecie jak jaki król, a ja na koźle omal sobie nie odgryzę języka – pierwszy z pretensjami wystartował Wojtek.

- Daj spokój, w środku też telepie i na dodatek nie ma gdzie wyciągnąć nóg – pocieszyłem go.- Poza tym masz świeże powietrze, lepsze widoki i nie musisz bez przerwy słuchać babskiego gadania.

- Jakim prawem zrobiłeś z nas służących? – do ataku przystąpił Maciek. – Wybij sobie z głowy, że się na to zgodzimy.

- Przestańcie pleść bzdury. Przecież widzieliście, że tak jakoś wyszło.

- Tak wyszło, tak wyszło – przedrzeźniał mnie Maciek. - Czemu nie wyjaśniłeś kim naprawdę jesteśmy?

- Zwariowaliście? Czy miałem ni z gruchy ni z pietruchy palnąć: przepraszam, proszę nas objaśnić, który mamy aktualnie rok, bo my pochodzimy z końca

⁵¹ Wybatożyć – zbić batogiem.

⁵² Harap – bicz myśliwski z krótką rękojeścią, a długim sznurem rzemiennym.

⁵³ Krewka – porywcza, gwałtowna, popędliwa.

dwudziestego wieku i trochę pogubiliśmy się w datach? Zresztą, sami mogliście to powiedzieć, tymczasem milczeliście jak śnięte ryby.

- Oczywiście, powiemy! Nie widzimy powodu, abyś ty miał być jaśniepanem, a my zwykłymi ciurami⁵⁵. Niedoczekanie twoje.

- Nie macie za grosz poczucia humoru.

- Humor? Ciekawe jaki ty miałbyś humor, gdyby dragoni obśmiali cię za strój, mowę i w ogóle.

- Za parę godzin wrócimy do naszych czasów i znów każdy będzie tym, czym naprawdę jest.

- O ile rozgryziemy zasady działania tego urzędnika - mruknął sarkastycznie⁵⁶ Wojtek.

- Jasne, że rozgryziemy. Nawet jeśli miałyby to być metoda prób i błędów. Podróżując w czasie nie rozbijemy się o drzewo - roześmiałem się z własnego dowcipu.

- Ale może nas zezreć jakiś tyranozaur, albo inny kanibal. To jest całkiem realne, bo jak dotąd, opanowałeś wyłącznie „bieg wsteczny”. Ale nas wrobiłeś! - Nie poznałem Wojtka.

Zanosiło się na wielką kłótnię, lecz na szczęście wróciły panie. Ola i Marysia nie różniły się teraz od Helenki. Miały na sobie jej sukienki, z całą pewnością, stosowne do aktualnej mody. Jednakże pani Ostrogska nadal nie była zadowolona z ich wyglądu.

- Gdy na miejscu staniemy, okłady z serwatki⁵⁷ paniom na twarz trzeba zrobić - uprzedziła Mariannę. - Nie uchodzi szlachetnym dziewczętom, niby chłopkom, obnosić cery słońcem spieczonej.

⁵⁴ Stangret – woźnica, furman, powożący końmi.

⁵⁵ Ciura – dawniej posługacz.

⁵⁶ Sarkazm – szyderstwo, kpina, ironia.

⁵⁷ Serwatka – płyn pozostały z mleka po oddzieleniu tłuszczu i sera.

KURATELA⁵⁸ IMĆ PANA LIGĘZY

Pod wieczór jeden z jeźdźców dał znać, że zbliżamy się do celu. Starsza dama kazała mu jechać przodem i uprzedzić pana Ligęzę o jej przybyciu.

Rzeszowa, podobnie jak innych mijanych dotąd miejscowości, prawie nie rozpoznawałem. Niskie, najwyżej jednopiętrowe domy, brukowane ulice i wznosząca się dumnie bryła warownego zamku. Tu znajoma wydała mi się tylko zegarowa wieża i obronne mury. Reszta wyglądała zupełnie inaczej, niż w naszych czasach. Pewnie zamek zostanie przebudowany na przestrzeni przyszłych wieków.

Kiedy zajechaliśmy na podwórze, oczekiwała nas grupka ludzi. Wśród nich wyróżniał się wysoki siwy pan o dostojnej posturze, ubrany w żupan⁵⁹ i, pomimo ciepłej pogody, buty z cholewami. Na mój gust tutejsza moda nie była zbyt praktyczna.

- Witam księżno, wielkim dla mnie zaszczytem jest gościć cię w moich progach – gospodarz skłonił się dwornie i pomógł damie wysiąść.

- Och dobrodzieju, wybacz żem jeszcze wzięła z gościńca sieroty po wielce szlachetnym podstarościm Nowosielskim, co go tak okrutnie ludzie Diabła Łańcuckiego, pospołu z ludźmi Jabłonowskiego, z odzieży odarli i śmiertelnie poranili. Niebożęta⁶⁰ z majątku wyzute, głów nie mają gdzie skłonić.

- Znam li ja tych nieprzyjaciół Bożych i wrogów miłosierdzia, a w szczególności Diabła. Starosta trembowelski, Bałaban, jadąc przed królem protestację na tego tyrana i pobereźnika zanieść, przedłożył mi rejestr ostatnich jego zbrodni, gdzie i o nieszczęściu Nowosielskiego wspomnieć raczył. Rad sierotom dłoń pomocną podam.

- Pokłoń się do kolan imć panu Ligęzie, że w przystojności szlacheckiej chce cię w potrzebie wziąć w protekcję⁶¹. Pan to wielki i sam jeden Diabła Łańcuckiego się nie boi.

Popychany przez księżną przypadłem do cholew nowego opiekuna. Widać, nie byłem w tym zbyt przekonujący, bo księżna raczyła mnie usprawiedliwić.

⁵⁸ Kuratela – opieka prawna, nadzór nad osobą lub jej majątkiem.

⁵⁹ Żupan – u dawnych Polaków spodnia suknia, na którą nakładano kontusz.

⁶⁰ Niebożęta – biedactwa, nieszczęśliwcy.

- Wybacz mu panie, pewnie rzezi się napatrzył i do rozumu dojść nie może. Mało co mówi, patrzy dziwnie i tylko stary zegar pod pachą ściska.

- Zawołam cyrulika⁶², niech mu krwi trochę puści – znalazł natychmiast radę na moje kłopoty pan Ligeza.

Tymczasem, gdy my rozmawialiśmy, służba zajmowała się swoimi obowiązkami: zdejmowała kufry i zanosila do zamku. Jedynie Wojtek, Maciek i Michał stali bezczynnie. Mój widok na kolanach wyraźnie poprawił im samopoczucie. Ledwo powstrzymywali śmiech. Nie spodobało się to księżnej.

- A wy co tak gęby rozdziawiacie darmożjady. Bieźcie się za jaką pracę, bo was w dyby⁶³ zakuć każe. Huncwoty paskudne! Miałem stanąć w ich obronie, lecz oni pochwycili jakieś tobołki i pobiegli za innymi służącymi.

Rozlokowano nas w zamkowych komnatach, a było ich tyle, że mogłyby pomieścić królewski dwór. Wojtek, Maciek i Michał musieli zadowolić się jakimś marnym kątem poza murami zamku. Na szczęście w mojej komnacie, oprócz przepastnego łoża, stało, podobne do pryczy, posłanie. To na wypadek gdybym nocą chciał mieć służbę pod ręką. Zaproponowałem im nocleg w lepszych warunkach, a nawet odstąpiłem własne łóżko, które, niestety, nie mogło pomieścić wszystkich i znów wybuchł spór, gdzie kto ma spać.

- Nie kłóćmy się, zawołajmy dziewczyny i spróbujmy wrócić do naszych czasów. Tutaj jest dość nudno – powiedziałem pojednawczo. W tym momencie przyszedł lokaj prosić mnie na wieczerzę. Wychodząc dałem im gestem znać, że za chwilę wracam.

Wieczerza miała miejsce w jadalni wielkiej jak ujeżdżalnia. Wielki dębowy stół mogących pomieścić ze czterdzieści osób, zastawiony był tylko w jednym końcu. Na honorowym miejscu zasiadał rzecz jasna pan Ligeza, po jego prawej stronie księżna

⁶¹ Protekcja – szczególna opieka, względy, poparcie udzielane przez ludzi wpływowych.

⁶² Cyrulik – dawniej lekarz o niepełnych kwalifikacjach, golibroda.

⁶³ Dyby – kłoda z otworami na ręce i nogi, w którą dawniej zakuwano winowajców.

Ostrogska, dalej staruszek w kapłańskich szatach, którego przedstawiono jako archimandrytę⁶⁴ Gedeona Bałabana. Po lewej - pani Ligęzowa i dwie Ligęzówny: Konstancja i Pudencjana. Naprzeciw gospodarza siedział pan starościc⁶⁵ Jan Wolski, po jego prawej - Ola i Marysia, a po lewej Helenka i ja. W tamtych czasach bardzo ważne było, jakie kto zajmuje miejsce przy stole, i wszelkie pomyłki w tej materii uważano za obrazę honoru.

Stół był zastawiony stosownie do pozycji i zamożności domu. Na srebrnych półmiskach piętrzyły się pieczone mięsiva, słodkie ciasta i zamorskie smakołyki, a w kryształowych gąsiorkach⁶⁶ czerwieniło wino. Dziesiątki świec w kutych mosiężnych kandelabrach dawało tyle światła, co stuwatowa żarówka, chociaż było to światło zupełnie inne. Za każdym krzesłem stał lokaj gotowy do usług. Fajnie!

Jedząc przysłuchiwałem się rozmowie. Księżna Ostrogska mniej więcej tak opowiedziała historię, która zmusiła ją do podróży:

- ... mąż Opalińskiej ciężkich krzywd od Diabła doznawał. Ten łotr poddanych jego łupił i katował, ręce, i nogi im obcinał, żywcem palił. Tyraństwo takie o pomstę do nieba woła.

Chodziło o Stanisława Stadnickiego, właściciela Łańcuta, którego z powodu niezwykle wrednego charakteru i zbrodniczych wybryków nazywano Łańcuckim Diabłem. Żałowałem, że w podczas wycieczki nie słuchałem, co dokładnie opowiadał o nim zamkowy przewodnik.

- Prawda li to, że o charta⁶⁷ poszło? – spytał pan Ligęza.

- Kto ma Diabła za sąsiada wie, co znaczy takie sąsiedztwo. Powodem do wojny mógł być chart, zajęc, raróg, karzeł, czy oćwiczony kozaczek⁶⁸. Żaden sługa, żaden dworzanin, żaden dzierzawca Opalińskich nie jest pewien życia. Gdziekolwiek zdybają go Diabłowi sabaci, zaraz rąbią, imają i do lochów wiodą – relacjonowała ze zgorzaniem księżna. – Opaliński zrozumiał, że jedna strona drugą zdusić musi, bo nie sposób, aby żyć mogli na tym samym świecie.

⁶⁴ Archimandryta – w kościele greko katolickim i prawosławnym przełożony większego klasztoru lub opiekun kilku klasztorów.

⁶⁵ Starościc – syn starosty.

⁶⁶ Gąsiorek – szklane, pękate naczynie z małą szyjką.

⁶⁷ Chart – rasa psów myśliwskich.

⁶⁸ Kozaczek – dawniej chłopiec do posług ubrany po kozacku.

Mowa była o jakichś magnackich⁶⁹ waśniach, lecz nadal nie padła żadna konkretna data. Z historii pamiętałem, że był to okres awanturnictwa, anarchii⁷⁰, upadku instytucji publicznych, który z czasem doprowadził do narodowej klęski. Za mało, aby włączać się do dyskusji. Poza tym, szczerze mówiąc, zaczynała mnie ona już nudzić. Helenka, prawie nic nie jedząc, nadal milczała ze spuszczonej oczami. Konstancja i Pudencjana też ledwo poruszały ustami. Zdaje się, że skromny apetyt pańienek należał tu do dobrego tonu, tymczasem Ola i Marysia pałaszowały pieczone udka w zdecydowanie nie dziewczęcych ilościach.

W pewnym momencie pan Ligęza zwrócił się bezpośrednio do mnie.

- Rozumiem ból waćpana po stracie rodzica, którego znaleźmy jako człowieka wielkiej zacności.

- Dziękuję za wyrazy współczucia.

- Wnioskuje waćpan z twojej mowy i... stroju, żeś nauki zagraniczne pobierał.

- Tak...

- Toś pan pewnie w geometrii i rachunkach biegły?

- Nasz ojciec dbał o wykształcenie wszystkich swoich dzieci – zabezpieczyłem się na wypadek, gdyby przyszła mu ochota, sprawdzić moją wiedzę. Mógłbym wtedy skorzystać z pomocy Oli.

- Teraz nastała moda, by pańienkom w głowach nowinkami mącić. Jakby prawo Archimedesza w doglądaniu kuchennych było pożyteczne – wtrącił gderliwie archimandryta Gedeon.

Ligęza puścił tę uwagę mimo uszu i indagował mnie dalej:

- Szablą pewnie też nielicho robić potrafisz? Twój rodzic byłby kiepem, gdyby cię do wojaczki nie przysposobił.

Przytaknąłem i zrobiłem błąd. Należało powiedzieć, że jestem typowym mołem książkowym, nigdy nie „robiłem” szablą, ani nie wachałem prochu. Może wtedy uniknąłbym kłopotów, które na mnie spadły później.

- Mniemam, że zechcesz żeby krew krwią zapłacona była? –pytał dalej pan Ligęza, a ja znów skinąłem głową, jakby mi odebrało rozum. – Widzę, żeś lew i

⁶⁹ Magnat – członek znakomitego rodu arystokratycznego, możnowładca.

⁷⁰ Anarchia – stan chaosu, rozprężenia społecznego, dezorganizacja istniejąca wskutek braku lub bezsilności władzy.

rezolut! Na żołnierski wikt cię biorę i pod komendę imć pana Wojskiego oddaję. Da li Bóg, że z moją pomocą w rychłym czasie okupatora⁷¹ ze swych włości wyrugujesz. Nie godzi się, by podeptanie majestatu szlachty bez odporu pozostało.

Jak pamiętacie mam piętnaście lat i niedługo skończę szesnaście, ale tutaj traktowano mnie jak osobę dorosłą. Wynikało to z tego, że jestem wysoki i dobrze zbudowany, a ludzie w tym czasie byli na ogół niżsi i wcześniej uznawani za pełnoletnich. Nie dotyczyło to dziewcząt, które powinny siedzieć cicho i słuchać mężczyzn, co, prawdę mówiąc, wcale nie było takie głupie.

Wieczera przeciągnęła się do późnych godzin nocnych. Wojtek, Maciek i Michał powitali mnie nową serią wymówek. Nie dość, że byli źli, to na dodatek doskwierał im głód, a głód, wiadomo, wzmagą złość.

- Teraz służba sprząta stoły, idźcie i coś sobie weźcie. Sporo jedzenia zostało...
- zaproponowałem w dobrej wierze, tymczasem jakbym wsadził kij w mrowisko.

- Co? Palma ci odbiła, czy co? Sam wtrądzasz frykasy ze srebrnych talerzy, a nam proponujesz resztki z pańskiego stołu? Wypchaj się takimi pomysłami...

Nie będę opisywał, co jeszcze wtedy usłyszałem, w każdym bądź razie najrozsądniejszym wyjściem było wracać do naszych czasów. I to niezwłocznie.

Jeszcze tej samej nocy zebraliśmy się w mojej komnacie. Wojtek, Maciek i Jurek kategorycznie chcieli wracać do domu. Ola i Marysia wolały jeszcze pobyc tu parę dni.

- Wierzę, że wy jako szlachcianki świetnie się bawicie. Niestety, zabawa w służącego nie jest taka uciechowa – powiedział Michał.

- Michaś, gdzie twoje poczucie humoru? – Ola próbowała obrócić jego słowa w żart.

- Ciekawe jaki ty miałabyś humor gdybyś, nawet na chwilę, nie mogła usiąść, bo ciągle ktoś cię poszturkuje i goni do roboty. Jeść musimy ze wspólnej miski jak świnię, a spać gorzej niż w chlewie. Poza tym te tumany mają nas za głupków i komediantów. Paskudna epoka. Mam tego dość, Wojtek i Maciek też.

⁷¹ Okupator – po staropolsku najeżdźca biorący w posiadanie cudzą własność.

- Ja też już mam dość tych wszystkich fiszbinów⁷², gorsetów i majtałasów. Jest mi gorąco i ledwie mogę oddychać – nieoczekiwanie do narzekających dołączyła Marysia. Sądzę, że prawdziwym powodem była tęsknota za mamą.

- Więc do dzieła – zabrałem się do wyjmowania wahadła z zegara.

- Spróbujmy odszukać Hieronima. Może już gdzieś żyje? – nie traciła nadziei Marysia.

- Wykluczone. Jesteśmy mniej więcej w pierwszej połowie wieku siedemnastego, a on urodzi się dopiero w 1710 roku. Prawdopodobnie jest wnukiem tego Jana Nowosielskiego, którego uznano za naszego ojca – pozbawiła ją złudzeń Ola.

- Ten Hieronim albo był wielkim kawalarzem, albo przecenił zdolności intelektualne swoich potomków. Inaczej zostawiłby instrukcję obsługi tego urządzenia – Maciek znalazł następną okazję do przytyków. Zirykowało to Marysię.

- Jak liczyliście na skarby i wszelkie inne korzyści, to nasz przodek, i jego zegar, był dobry. Teraz, gdy mamy kłopoty, obrażacie nas i macie same pretensje. Gdy już wrócimy do naszych czasów, a wrócimy na pewno, koniec ze wspólnymi wyprawami. Będziecie się we własnych domach do woli wylegiwać pod puchowymi kołdrami i jeść świeże obiadki na porcelanie. Mam gdzieś takich przyjaciół. Myślę, że Adaś i Ola też.

Zapadła przykra cisza, której nikt nie kwapił się przerwać. Położyłem puszkę wahadła na łóżku i próbowałem otworzyć, na próżno. Wieczko ani drgnęło.

- Zacięło się – powiedziałem byle coś powiedzieć. – Może ktoś inny chce spróbować?

Nikt nie chciał, wszyscy milczeli. Ponowiłem próby: naciskałem w różnych miejscach, kręciłem to w jedną to w drugą stronę, podwahałem, uginałem, pukałam... i nic.

- Daj spokój, prześpijmy się z tematem, może jutro coś wymyślimy – poradziła Ola. – Na pewno coś wymyślimy.

- No jasne, skoro udało się raz, uda się i drugi – rzekł pojednawczym tonem Wojtek.

⁷² Fiszbiny – wąskie pręty z rogowych płyt w jamie gębowej waleni służące do odcedzania pokarmu;

- Zachowaliśmy się nie fair, przepraszamy – dołączył do niego Michał.

- Nie chcieliśmy was urazić, tak jakoś wyszło – dorzucił usprawiedliwiająco Maciek.

- Nie ma o czym mówić, każdy na waszym miejscu miałby prawo się zdenerwować - wzruszyłem ramionami aby pokazać, że sprawę uważam za załatwioną.

Dziewczynom również najwyraźniej spadł kamień z serca, że wszystko wróciło do normy.

- Tylko pamiętajcie, żeby nikt nie ważył się grzebać przy zegarze, gdy nie będziemy w komplecie. Inaczej pogubimy się w czasie i nigdy nie odnajdziemy – przestrzegła Ola. – Przyrzekacie?

- To chyba zrozumiałe dla wszystkich – odpowiedział Michał. – Wystarczy, że już zgubiliśmy Jurka.

W niezbyt radosnych humorach poszliśmy spać.

POD KOMENDĄ PANA WOLSKIEGO

Nazajutrz już miałem naszykowany stosowny strój i rynsztunek⁷³. Strój, skrojony oczywiście na miarę epoki, składał się płóciennej koszuli, skórzanego kaftana, sukiennych spodni wpuszczanych w juchtowe⁷⁴ buty z cholewami. Na to narzucało się rodzaj płaszcza..

Wszystkie części garderoby miały swoje stosowne nazwy, ale przecież jako szlachcic nie mogłem zapytać, czy na przykład ów płaszcz, który mam na sobie, jest delią, żupanem, kontuszem, czy może czymś innym. Takim pytaniem zbudziłbym takie same zdziwienie, jak w naszych czasach ktoś, kto nie wie czy jest ubrany w kurtkę, marynarkę, czy bluzę od dresu.

dawniej używane do usztywniania gorsetów, spódnic i czepców kobiecych.

⁷³ Rynsztunek – uzbrojenie żołnierza, dawniej również i konia; zbroja.

⁷⁴ Jucht – skóra bydłęca wyprawiona przez garbowanie, mocno natłuszczona, używana na obuwie robocze i wojskowe.

Dużo gorzej przedstawiała się sprawa z uzbrojeniem. Strój, nawet najdziwniejszy można po prostu włożyć i po problemie. Natomiast jak się posługiwać szablą, półhakiem⁷⁵, czy strzelbą...?

Wtedy, gdy mieliśmy kłopoty z powrotem do naszych czasów, co jak co, ale dekonspiracja była najmniej pożądana. Nie mogliśmy sobie pozwolić na żaden fałszywy krok. Znalazłem się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Dziewczyny mogły milczeć ze spuszczoneymi skromnie oczami, ze słowem służby nikt się nie liczył, a na mnie spoczął nie tylko obowiązek występowania w roli głowy rodziny, ale na dodatek służby wojskowej. Czas pokazał, nasze wyobrażenie o czekających mnie trudnościach, to drobiażdżek w porównaniu rzeczywistością, ale nie będę uprzedzał zdarzeń.

Póki co, starałem się grać swoją rolę jak najlepiej. Z początku szło mi całkiem dobrze. Strój upodobił mnie do pana Wojskiego, a gdy balwierz⁷⁶, zgodnie z aktualną modą, podgolił mi wysoko czub, wyglądałem jak rasowy szlachciura. Tak przynajmniej stwierdził Michał, a pan Ligęza na mój widok zawołał:

- Imć panie Adamie, przystojny kawaler z imć pana, niejedna białogłowa szturm do waści serca przypuści - co zrozumiałem, że nie wyglądam już jak pajac. Według ich gustu rzecz jasna.

Tego dnia Ola i Marysia poszły dotrzymywać towarzystwa pannie Helence, a Wojtek, Michał i Maciek wysłani do pomocy przy produkcji świec. Wspomnę, że wtedy wszystko robiło się w domu: płótno, mydło, lekarstwa, atrament, piwo, wódkę, proch strzelniczy, a nawet świece. Czego nie dało się zrobić własnym sumptem, sprowadzano zza granicy, albo zamawiano u żyda, który był takim ówczesnym importerem.

Siedziałem w towarzystwie pana Ligęzy, księżnej Ostrogskiej i pana Wojskiego przysłuchując się rozmowie. Udawałem wielkie zainteresowanie, chociaż tak naprawdę ledwo powstrzymywałem ziewanie. Bo cóż mnie mogły obchodzić wielka woda łońskiego roku, wysokość myta⁷⁷, czy jakiegoś Potockiego „gruba transakcja z Gdańskiem na woły”?

⁷⁵ Półhak - dawniej rodzaj pistoletu.

⁷⁶ Balwierz - cyrulik, felczer, golibroda.

⁷⁷ Myto - dawniej opłata za przewóz lub przejazd.

Wtem zza drzwi dobiegł jakiś tumult⁷⁸ i podniesione głosy. Pan Ligeza kazał sprawdzić, co się tam dzieje. Służący po chwili przyniósł wiadomość, iż przybył niejaki Lubaszko i chce koniecznie być dopuszczony przed oblicze wojewodziny, Anny Ostrogskiej.

- Myślę, że ważna sprawa go sprowadza, skoro takim gwałtem o posłuchanie prosi – powiedział pan Ligeza i kazał wpuścić tego człowieka.

Wszedł czterdziestoletni może mężczyzna w poszarpanym i pokrwawionym ubraniu, z ręką na temblaku. Skłoniwszy się nisko, od razu zaczął mówić.

- Wielmożna pani, węgierscy sabaci Diabła Kańczugę napadli, dwór spichrze i mieszczan do gołych ścian złupili. Tylko kto w bagnach się ukrył, ten z życiem uszedł... Wtargnęli nawet do kościoła i hostie po podłodze rozmiotli... Jam przebiwszy się z garstką ludzi, przybyłem ratunku się dopraszać.

- Czekaj na moje rozkazy – księżna gestem dłoni odprawiła Lubaszkę. – Coraz śmielej poczyna sobie ten łajdak. Muszę i ja pomyśleć, aby mu skuteczny odpór dać. Zatem postanowiłam do Przeworska wracać, gromadzić tam żołnierzy i działa. Jak trzeba będzie, to miasto w obóz wojenny zamienię, niech Diabeł wie, że go w siłę przerosnę.

- I ja dopomogę. Póki co, niech panienki u mnie na dworze zostaną – zaproponował pan Ligeza.

- Bóg zapłać waszmości – powiedziała księżna i wyszła szykować się do drogi.

- Wypada i mnie w pole ruszyć, żeby zawczasu Diabłu szyki pomieszać. Może znajdzie się sposobność, bym i ja swoje porachunki z nim załatwił? – ożywił się pan Wolski.

- Rozważna to rada i nie jestem do niej w opozycji⁷⁹. Mniemam, że z panem Adamem łatwiej ci będzie Diabła w łydki kąsać – pan Ligeza poklepał mnie przyjaźnie po plecach, a potem przywołał służącego i kazał mi osiodłać Grotą. Grot, był sześciolatkiem, czarnym jak smoła ogierem, z białym znamieniem na czole w kształcie grotu strzały. Stąd jego imię.

Niecałe dwie godziny później wraz z dwudziestoosobową grupą lisowczyków⁸⁰ opuszczaliśmy mury zamku. Moi nowi towarzysze, to na oko

⁷⁸ Tumult – zgiełk, wrzawa.

wszelkiej maści awanturnicy, zawadiaki-zabijaki, od których aż biła chęć bitki i łupów.

Jako wiejski chłopak umiem oczywiście jeździć wierzchem, jednak przejażdżka po łące czy lesie nie jest tym samym, co korzystanie z konia jako środka lokomocji. Przy tych żyłowych watażkach, którzy większość życia spędzali w siodle, już czułem się jak ostatnia łamaga. A miało być jeszcze gorzej.

Ledwo przekroczyliśmy most na Wisłoku, Wolski dał znać, aby z klusa przejść w cwał. Konie ruszyły jak wicher, tylko moje „bydlę”, czując na sobie niewprawnego jeźdźca, ani myślało się spieszyć. Nadaremnie pokrzykiwałem i dźgałem go w boki piętami. Grot do tego stopnia lekceważył sobie moje starania, że wreszcie stanął i począł skubać trawę.

Wiedziałem, że w razie kompromitacji, będę miał przechłapane na amen. Stanę się obiektem kpin i docinków. Z jakiegoś drzewa odłamałem sporą gałąź, oczyściłem z liści, i z całych sił walnąłem konia w zad. Ten najpierw zdziwiony odwrócił łeb aby sprawdzić, czy to na pewno ja go tak potraktowałem, a zobaczywszy, że znów unoszę w górę rękę z kijem, natychmiast nabrał do mnie szacunku i ruszył do przodu jak burza. Gonił z wyciągniętą szyją jak wytrawny koń wyścigowy, aż dołączył do pozostałych.

Nie wiem jakim cudem udało mi się nie spaść. W każdym bądź razie nie zauważono moich kłopotów. Na razie.

W tamtych czasach i nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, aby przed każdą miejscowością postawić tabliczkę informacyjną z jej nazwą, a drogowskazy, w formie kamiennych słupów, należały do rzadkości i stały tylko na najważniejszych rozdrożach. Żeby cokolwiek na nich odczytać, należałoby podejść do nich bardzo blisko. W takiej sytuacji tylko jedno mogłem bezspornie ustalić, że jedziemy w kierunku południowo-wschodnim.

Mijaliśmy dość biednie wyglądające wioski. Chłopskie chałupy były niskie, drewniane i kryte strzechą. Wyróżnienie stanowiły jedynie szlacheckie dwory i, rzecz jasna, kościoły. Samych chłopów raczej trudno było dostrzec. Już z daleka

⁷⁹ Opozycja – opór, przeciwstawianie się, przeciwieństwo zdań.

⁸⁰ Lisowczycy – lekka, nieregularna kawaleria polna, zorganizowana na początku XVII w. przez A. Lisowskiego.

słyszac tętent koni, na wszelki wypadek kryli się gdzie kto mógł. Wkrótce zrozumiałem dlaczego.

PRAWDZIWA BITWA

Po trzech godzinach zatrzymaliśmy się przed jakąś karczmą, żeby odpocząć i zasięgnąć języka. Bardziej spadłem niż zsiadłem z Grota i powlokłem się za innymi. Tam już w najciemniejszym kącie karczmy pan Wolski rozmawiał z jakimś wylęknionym staruszkim w sukmanie, a jego ludzie pozajmowali miejsca przy długich, drewnianych stołach. Żyd za szynkwasm⁸¹ rozlewał mętą wódkę do grubo rżniętych szklanek, a ogorzała dziewczyna, na którą wołano Ryfka, donosiła ją gościom.

Usiadłem na brzegu ławy przy niejakim Macedońskim, zwanym Persa Tatarzynem, sługą księżnej Anny Ostrogskiej, oddanym chwilowo pod komendę pana Wolskiego. Pseudonim Macedońskiego niewątpliwie wiązał się z jego orientalnym pochodzeniem. Był to człowiek wysoki i szeroki w barach. Miał skośne oczy, długie opadające wąsiska, a z jego twarzy biła azjatycka dzikość i okrucieństwo. Kiedy mówił, błyskał białymi i ostrymi jak u wilka zębami.

Pan Wolski skończył rozmowę i podszedł do naszego stołu, gdzie czekało na niego wolne miejsce.

- No to na pohybel⁸² Diablowi i jego kamratom⁸³ - wznosił toast nie siadając.

- Na pohybel - zakrzyknęli wszyscy i podnieśli szklanice. Ja również. Ledwie pociągnąłem łyk poczułem taki ogień w gardle, jakbym połknął rozżarzone węgle. Mój język skołowaciał niby drewno i a płuca boleśnie ogarnął ogień. Nie mogłem złapać tchu.

- Co waćpan⁸⁴ oczy wybałuszasz jak ryba wyjęta z wody? - zainteresował się uprzejmie Macedoński.

Próbowałem odpowiedzieć, lecz nadaremnie poruszałem ustami. Głos utkwił mi krtani.

⁸¹ Szynkwias - lada w dawnych oberżach.

⁸² Na pohybel - na zgubę, na zatracenie, na zagładę.

⁸³ Kamrat - towarzysz broni, współuczestnik, kolega.

- Pewnie waćpanu wątpia zapowietrzyło – grzmotnął mnie z całych sił pięścią w plecy, a pięści miał jak bochny. Wydałem z siebie nieartykułowany dźwięk, lecz złapałem dech.

- Serdeczne dzięki. Nie gustuję w trunkach – rzuciłem usprawiedliwiająco.

- Młodyś waćpan, toś jeszcze nie nawykły – niespodziewanie okazał zrozumienie Macedoński.

Tymczasem pan Wolski odkładając szklanicę powiedział.

- Musimy się spieszyć, nie dalej jak pół godziny temu przejeżdżali tędy ludzie Diabła, komory porozbijali i zapasy wzięli. Na koń! – zakrzyknął.

Wypadliśmy na podwórzec. Korzystając z zamieszania, doprowadziłem swojego konia do resztek jakiegoś muru, by ułatwić sobie wsiadanie. Miałem rację, że zrobiłem to dyskretnie, gdyż później, przy jakiejś okazji, usłyszałem rubaszną piosenkę o tym, jak to „hołota dosiada konia z płota”. Ale by sobie ze mnie kpili!

Z miejsca ruszyliśmy galopem. Po kilkunastu minutach dojechaliśmy do lasku. Pan Wolski zatrzymał nas i kazał nasłuchiwać. Zza drzew dochodziły odgłosy przypominający pukanie.

- Ani chybi harcownicy⁸⁵ Diabła... – stwierdził wyraźnie zadowolony
Wjechaliśmy w gęstwinę. Lisowczycy już wyjmowali z pochew szable i pokrzykując zawadiacko wywijali nimi nad głowami. Dla mnie ta, niby prosta, czynność była piekielnie trudna. Widząc jednak, że pan Wolski na razie nie sięgnął po broń, postanowiłem nie ryzykować upadku z konia dla głupiej brawury.

Lasek nagle się skończył i wypadliśmy na wąską dolinę pomiędzy wzniesieniami. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że trafiłem na scenę kręcenia jakiegoś historycznego filmu. Z dwóch stron nacierały na siebie ze dwie setki ludzi. Nic z tego nie mogłem zrozumieć. Jedni siekli się szablami, inni strzelali z łuków, jeszcze inni z broni palnej. Po lewej stały dwie armaty, ale nawet nie próbowałem domyślać się po co. Zawsze myślałem, że armaty służą do rażenia wroga na odległość. Tutaj trwała taka kotłowanina, że nie mogłem rozróżnić walczących stron, tym bardziej, że tylko z prawej strony powiewała czerwono żółta chorągiew z żółtym krzyżem.

⁸⁴ Waćpan, waćpani – dawny sposób zwracania się do godniejszych osób.

Niestety, nie był to plan filmowy. Moi towarzysze uznali najwyraźniej, że wszystko jest super i z dzikiem wrzaskiem rzucili się do boju. Ja razem z nimi.

- Wpadłem jak śliwka w kompot – gnając na złamanie karku jęczałem niezbyt chwalebnie w duszy.

Jakoś udało mi się dobyć szabli, jednak niewiele miałem z niej pożytku bo Grot, jakby się nażarł szaleju, po prostu zdurniał. Z uporem maniaka pchał się tam, gdzie największa rąbanina, a przy tym skakał, wierzgał, gryzł, kopał i kwiczał jak jaka świnia. Zewsząd rozlegały się krzyki walczących, szczęk broni, świst strzał, huk wystrzałów, jęki rannych, rżenie koni, a ja na grzbiecie tego wariata z piekła rodem, szalałem po polu bitwy nie wiedząc za dobrze z kim walczę.

Wtem zobaczyłem, że z prawej naciera na mnie jakiś wrzeszczący dziko dragon⁸⁶. Machnąłem z determinacją szablą bardziej aby go odstraszyć, niż zabić. Napastnik zrobił zręczny unik, już triumfalny grymas wykrzywił jego twarz, już unosił się w strzemionach aby wzmocnić siłę cięcia i niechybnie rozplatać mi głowę, gdy nagle Grot stanął dęba atakując go przednimi kopytami. Z największym trudem udało mi się nie spaść.

Dragon zrejterował, lecz mój koń nie miał dość, zmienił tylko taktykę. Raz wznosił się na tylnych nogach kopiąc na oślep przednimi kopytami, to znów pochylał łeb prawie do ziemi - wierzgając tylnymi. Było to prawdziwe rodeo i nie wiem czy wyszedłbym z niego cało, gdyby nie zjawił się Macedoński, który wychyliwszy się ze swojego siodła, złapał Grota za uzdę i ściągnął w dół z taką siłą, że ten aż przysiadł na zadzie.

- Trzymaj się waćpan mnie... Ani chybi odwrót odtrąbią... – krzyknął i nie czekając na moją odpowiedź, rzucił się w wir bitwy wyrąbując wśród walczących drogę w kierunku żółto-czerwonej chorągwi z krzyżem. Posuwałem się krok w krok jego śladem.

Spostrzegłem, że część ludzi zaczęła uciekać, nie miałem pojęcia nasi, czy tamci. Odszukałem wzrokiem pana Wolskiego. Stał w strzemionach nawołując, aby wracać pod jego komendę. Domyśliłem się, że walczymy po stronie chorągwi, jak się później dowiedziałem, z barwami pana Opalińskiego.

⁸⁵ Harcownicy – dawniej żołnierze biorący udział w utarczках przed rozpoczęciem walnej bitwy.

Powoli robiło się coraz luźniej, ale nie oznaczało to wcale końca zmagania. Ledwo zgrupowaliśmy się przy panu Wolskim, dał znak, że mamy ruszać.

W JASKINI ZŁA

Fakt, że znalazłem się wśród zwycięzców, należy przypisać wyłącznie szczęściu. Moje zasługi bojowe były bowiem mniej niż marne. Nawet teraz, gdy inni z łuków i wszelkiej broni palnej razili plecy uciekających, ja, prawie leżąc na karku Grota, robiłem jedynie za statystę⁸⁷. Mogłem, co najwyżej podziwiać mistrzostwo jeźdźców, którzy niczym kaskaderzy dokazywali cudów sprawności. Raz po raz, bez najmniejszej trudności, w pełnym galopie, wyjmowali z kołczanów⁸⁸ strzały, nakładali je na cięciwy i naciągali łuki. Pomimo, iż te czynności zajmowały obie ręce, siedzieli w siodłach, jakby byli zrosnięci z końmi.

Na szczęście nie miałem na wyposażeniu łuku, bo nieco inaczej rzecz się miała z wszelkimi pistoletami. Ich obsługa była dość kłopotliwa. Specjalnym kluczem nakręcało się sprężynę metalowego kółka z boku zamku i nabijało lufę prochem, pakułami⁸⁹, odpowiednią kulą lub siekańcami. Aby dać ognia, pociągało się za spust, sprężyna gwałtownie obracała kółkiem, które tarło o piryt⁹⁰ i wytwarzało iskrę. Iskra zapalała proch w panewce⁹¹. Trudno było zrobić to wszystko podczas galopady, więc pistolety przygotowywało się wcześniej i wykorzystywało w odpowiedniej chwili. Niektórzy jeźdźcy mieli po cztery pary takiej broni, wożonej w olstrach, specjalnych kaburach z przodu siodła. Ja miałem tylko jednego półhaka.

Wśród panującej wrzawy wybijały się wyraźnie okrzyki:

- Hałaj⁹²! Hałaj! Na Łańcut! Na Łańcut! Do jaskini zła! Zniszczyć gniazdo Diabła!

⁸⁶ Dragon żołnierz kawalerzysta pełniący służbę pieszo i konno.

⁸⁷ Statysta – osoba występująca w filmie lub teatrze w drobnej, najczęściej niemej roli, głównie w scenach masowych.

⁸⁸ Kołczan – futerał na strzały do łuku noszony głównie u pasa lub przy siodle.

⁸⁹ Pakuły – krótkie włókna lnu lub konopi.

⁹⁰ Piryty – minerał, odmiana siarczku żelaza.

⁹¹ Panewka – zagłębienie pod kurkiem w broni palnej skałkowej, w którą wsypywano proch do odpalania naboju.

⁹² Hałaj – dawniej okrzyk bojowy przejęty od Tatarów.

W bitewnym szale połączone siły ludzi Opalińskiego i Wolskiego, jak to mówią wojskowi, siedząc na karkach uciekającym, goniąc ich zaciekle, wpadli w mury łańcuckiego zamku. Ja rzecz jasna z nimi.

To, co nastąpiło później, przypominało piekło. Nasi, wdarłszy się do środka, nie przepuszczali nikomu. Kłując, rąbiąc, strzelając, depcząc zabitych i rannych, rzucili się do rabunku. Rozbijali skrzynie, szafy, skarbce. Nikt już się nie bronił.

Udało mi się wreszcie jakoś zapanować nad koniem i wycofać pod mur obronny, gdzie stała stłoczona grupa chłopów, poddanych Diabła, i przypatrywała się najazdowi. Właśnie gdy się do nich zbliżyłem, ci wystraszeni ludzie widząc klęskę swojego ciemiężcy, rzucili się na zamek, by wraz z wrogiem wziąć udział w łupieży.

Patrzyłem z przerażeniem na to dzieło zniszczenia. Nagle, do ogólnej wrzawy, dołączyło dochodzące gdzieś spod ziemi wycie tak przejmujące, jakby obudziły się najprawdziwsze moce piekielne. Kiedy się lepiej wsłuchałem ustaliłem, że źródłem tego wycia jest jedna z narożnych baszt⁹³. Zachowując ostrożność, podjechałem do niej jak najbliżej. Wycie dochodziło zza malutkiego, okratowanego okienka ulokowanego tuż przy ziemi.

Zsiadłem z konia, zajrzałem do środka i zamarłem. Kilkudziesięciu więźniów, którzy z trzasku, łomotu i huku strzałów domyślili się, że zamek wpadł w ręce nieprzyjaciół, wyrwali właśnie drzwi, i jak opętani szaleńcy uciekali z lochu. Chwilę potem dysząc zemstą niby najprawdziwsze dzikie zwierzęta, zaczęli buszować po zamku.

Rabowano wszystko, co było do zrabowania, a kiedy zamek doszczętnie splądrowano, któryś z więźniów zdradził, że w fosie Diabeł zakopał skarb. Natychmiast z fosy spuszczone wodę i skarb zabrano. Gdy już nie było co brać, ktoś pod zamek podłożył ogień, ale nie był to jeszcze koniec barbarzyńskiej żądzy niszczenia. Żołdacy⁹⁴, więźniowie i rozjuszone chłopstwo, wspólnie rzuciło się na miasteczko, a potem na okoliczne wsie. Z niepohamowaną furią niszczone wszystko, co się dało zniszczyć, a czego nie zniszczono, rzucono na pastwę płomieni.

⁹³ Baszta – wieża obronna.

⁹⁴ Żołdak – żołnierz najęty, ogólnie w znaczeniu pogardliwym.

Ta bitwa w żaden sposób nie przypominała szlchetnych walk z pozytywnymi bohaterami w roli głównej, jakie znałem z filmów i literatury. Byłem zdruzgotany tym, co widziałem. Sam nie wiem jakim cudem przeszedłem przez to piekło nawet nie drażnięty. Może była to zasługa Grota, który swoim końskim instynktem wyczuwał, że jest lepiej wyćwiczony w bojach niż ja i, wbrew pozorom, zadbał o nasze bezpieczeństwo? Zresztą, cokolwiek by nie myślał mój koń, zachowywał się o wiele szlachetniej, niż ta szalejąca wokół, niesyta mordu tłuszczka, nazywająca siebie dumnie ludźmi.

- To wszystko już się zdarzyło, to wszystko już się zdarzyło... powtarzałem sobie dla pocieszenia serca.

Nad ranem, gdy już tylko dopalały się zgliszczka, pijane wódką i krwią żołdactwo, zaczęło zbierać się w kupy. Dowódcy nawoływali swoje oddziały i przeliczali ludzi, żeby ustalić straty. Przeszukiwano teren, ale tym razem, aby poszukiwać rannych. Swoich zabierano na furmanki skonfiskowane chłopom, wrogów dobijano. Szczególnie pilnie wypatrywano ciała samego Diabła. Opaliński bowiem obiecał wysoką nagrodę za żywego lub martwego.

Ktoś z byłej służby pałacowej wzięty na tortury wyjawiał, że Diabeł zbiegł już na samym początku bitwy, pozostawiając na pastwę wroga żonę i dzieci. Ale ich też nie odnaleziono. Nie wiadomo jakim cudem uszli z tej rzezi.

Ruszyłem na poszukiwania pana Wolskiego. Krążyłem między ruinami, aż natknąłem się na Macedońskiego. Po nim było widać trudy walki i triumf zwycięstwa. Osmolony sadzą, umazany krwią, z głową obwiązaną szmatą, miał do siodła przytroczone zdobyczne łupy: wory wypchane złotem srebrem i klejnotami, jakieś zbelowane tkaniny i szable powiązane w snopy jak zboże. Nie tylko Macedoński był tak obładowany. Inni również ciągnęli zagrabione mienie. Czego nie mogli przytroczyć do koni, rzucali na wozy do wspólnego podziału.

- Widzę, żeś waszmość żadnych łupów nie wziął – zdziwił się.

- Jakoś tak wyszło.

- Pewnie się waćpan za spódnickami wolał uganiać?

Nie miałem ochoty zaprzeczać. Macedoński, chociaż pijany, bez trudu odnalazł pana Wolskiego. Ten na mój widok wysoko uniósł brwi, ale nie wiem, co go w moim wyglądzie tak zdziwiło. Chwilę później podszedł do mnie i rzekł:

- Weź pan, panie Adamie odprowadź rannych.

- Tylko naszych? - upewniłem się.

- Swoich pozabiera sobie Opaliński.

Poszkodowani ludzie Wolskiego już czekali na dwóch furmankach. Nigdy w życiu nie przyszło mi do głowy, że można mieć tak obojętny stosunek do rannych współtowarzyszy. Leżeli na słomie poobwiązywani skrwawionymi szmatami. Jedni wołali wody, inni księdza, a jeszcze inni, aby ich dobić. Niektórzy nic już nie wołali i nie było wiadomo, czy jeszcze żyją. Ale tym nikt się nie przejmował.

Do powożenia przymuszono jakichś dwóch złapanych chłopów, którzy z niepojętą biernością poddawali się rozkazom. Rozwahałem, czy wziąć kogoś do pomocy, ale doszedłem do wniosku, że urznięty pomocnik, to tylko kłopot i lepiej zrobię to sam.

- Ruszajmy na Rzeszów - powiedziałem

- Jak każeś panie - odpowiedzieli zgodnie chłopci i zacięli konie.

BAL NA CZEŚĆ ZWYCIĘSTWA

Do zamku z rannymi dotarłem o świcie. Byłem tak zmęczony, że ledwo trzymałem się na nogach.

- Łańcut padł - zaledwie tyle byłem w stanie powiedzieć panu Kaliszowi, dowódcy straży zamkowej, po czym runąłem na ziemię i natychmiast zasnąłem kamiennym snem. Nawet nie czułem, jak mnie zaniecono do sypialni, rozebrano i ułożono w łóżku.

Spałem do wieczora. Wolski ze swoimi ludźmi zdążył już powrócić i opowiedzieć o zdobyciu i spaleniu Łańcuta.

- No no, Opaliński diabła pobił i piekło spalił - powtarzał co chwilę z podziwem pan Ligęza.

Opowiadano najfantastyczniejsze historie o bitwie i o skarbach odkrytych w podziemiach. Przysięgano, że odkryto lochy, w których przykuci łańcuchami do ścian więźniowie kuli fałszywe monety. Nawet mnie posądzono, że wraz z rannymi, pod osłoną nocy, wywiózł beczkę pieniędzy.

- A ja myślałem, że z waćpana kiej – wyznał mi szczerze Macedoński.

Pan Ligęza kontent z tego zwycięstwa, wszak Diabeł był jego wrogiem, postanowił wydać z tej okazji wielki bal. Umyślni rozesłani po okolicy rozwozili zaproszenia do co znamienitszych sąsiadów, z którymi akurat się nie procesował. W owych czasach procesy o różne błahostki były na porządku dziennym, ciągnęły się latami, a nawet przekazywano je spadkobiercom. Pomimo pieniackiego charakteru polska szlachta potrafiła się bawić.

Ola i Marysia cieszyły się, że nareszcie będą miały okazję tańczyć na prawdziwym balu, z prawdziwą herbową arystokracją⁹⁵.

- Może ktoś się we mnie zakocha? – marzyła głośno moja smarkata siostra. Siedemnasty wiek najwyraźniej źle na nią wpływał.

Dziewczyny przygotowywały się do balu, a my, chłopcy, szukaliśmy sposobu, żeby otworzyć puszkę. Nasi rodzice pewnie już od kilku dni szukali nas umierając z niepokoju. Poza tym nikomu z nas nie uśmiechało się utknąć na stałe w tych dziwacznych czasach. Niestety, nasze próby znów spełzły na niczym.

Ola i Marysia tak jak wszystkie kobiety narzekały, że nie mają się w co ubrać, i po raz pierwszy w życiu przyznałem im rację. Z opresji wybawiła je Helenka odstępując wspaniałomyślnie po jakiejś balowej sukience. Wspaniałomyślności nie starczyło jej jednak, aby do sukienek dołożyć chociażby najskromniejsze klejnoty, które w owych czasach były nie tylko ozdobą, ale również dowodem zamożności. Poza tym wiadomo, a dziewczyny bez różnych świecidełek czują się niekompletnie ubrane. To jednak nie zniechęciło je do balu. Zamiast klejnotów postanowiły wpiąć we włosy róże.

Jeżeli o mnie chodzi, to było mi najzupełniej obojętne w czym wystąpię. Bolały mnie wszystkie kości i... z trudem siadałem. Najchętniej rąbnąłbym się spać. Tymczasem pan Ligęza podarował mi odświętny kontusz z wyłogami.

⁹⁵ Arystokracja – możnowładztwo, wysoka szlachta rodowa, najwyższa klasa społeczna.

W sobotę pod wieczór na dziedzińcu zamku zaczęły zajeżdżać karety oznaczone herbami. Powoli wielka sala na piętrze, oświetlona rzęsiście przynajmniej setką świec, zappełniła się dostojnymi gośćmi. Każdego z nowoprzybyłych anonsował⁹⁶ herold⁹⁷ o wyjątkowo donośnym głose, a witał osobiście pan Ligęza.

Największe zainteresowanie wzbudził pan Łukasz Opaliński, pogromca Łańcuckiego Diabła. Wszedł z dumnie podniesioną głową prowadząc żonę Annę i Helenkę. Przybyła też unieżenie witana księżna Ostrogska.

Sala balowa rzecz jasna w niczym nie przypominała naszych współczesnych dyskotek. Pod ścianami stały kanapy z wysokimi oparciami, na nich zasiadały wystrojone panie. Panowie albo stali obok, albo przechadzali się grupkami po długich korytarzach rozmawiając przeważnie o zdobyciu Łańcuta. Orkiestra ukryta na balkonie grała jakieś beznadziejne kawałki, do których równie beznadziejnie tańczono, a właściwie chodzono: krok do przodu, dwa do tyłu, skłon... albo odwrotnie. Nie znam się na tańcach.

Stałem samotnie w pobliżu drzwi i nie wiedziałem jak się zachować. Gotów byłem w każdej chwili czmychnąć, ale na razie przyglądałem się sali.

Oczy starszych pań były skierowane na hetmana⁹⁸ polnego koronnego, wojewodę krakowskiego, Stanisława Potockiego, który przypadkowo w okolicy załatwiał jakieś rodzinne sprawy i ohotnie skorzystał z zaproszenia Ligęzy. Hetman był wolnego stanu, a o jego fortunie krążyły legendy. Młodsze panie zerkały na pana Wolskiego, który chociaż nie należał do bogatych, był bardzo przystojny. Starsi panowie adorowali Helenkę Opalińską i obie Ligęzówny. Wszystkie były na wydaniu i wszystkie posiadały posagi godne ich urodzenia. Ale prawdziwą furorę zrobiła Ola. Chociaż nie brakowało ładnych i o niebo bardziej wystrojonych dziewcząt, to właśnie ona przyciągała uwagę panów. Bez klejnotów, bez kunsztownie upiętej fryzury, mając za ozdobę tylko białą różę we włosach, była nie koronowaną królową balu. Młodzieńcy ustawiali się do niej w długie kolejki, aby choć raz zatańczyć.

⁹⁶ Anonsować – dawniej zapowiedzenie czyjegoś przybycia.

⁹⁷ Herold – na dworach panujących wywoływacz.

⁹⁸ Hetman – w dawnej Polsce najwyższy dowódca (hetman wielki), jego zastępcą był hetman polny koronny.

Na efekty takiego zauroczenia nie czekałem długo. Jeszcze przed północą podszedł do mnie napaleniec, który zapalał do Oli takim afektem, że postanowił natychmiast poprosić ją o rękę. Ola sprytnie odesłała go do mnie, gdyż w tym czasie, w razie braku ojca, decyzję podejmował brat. Absztyfikant⁹⁹ tak przystąpił do rzeczy:

- Marcin Napierski jestem – przestawił się.

- Adam Nowosielski.

- Urodną i dowcipu bystrego siostrę masz waćpan.

- Uhum – mruknąłem niechętnie.

- A koncept¹⁰⁰ u niej, że w kalendarzu spisywać.

- Niewątpliwie.

- Żywe srebro. Ledwom ją zobaczył, a już wiedziałem, że moje serce należy do niej.

- Nie pan jeden.

- Czy ktoś mnie ubiegł? – przestraszył się.

- Nie, ale ona jeszcze za młoda do małżeństwa.

- Młoda?

- No jasne. Ma dopiero piętnaście lat – postanowiłam od razu odprawić go z kwitkiem.

- Panie Adamie, toż to najlepszy wiek do zameścia. Odwołuję się do sumienia waszmości – miał taką nieszczęśliwą minę, że aż zrobiło mi się go żal.

- Pomyślę o tym – powiedziałem na pocieszenie, aby przynajmniej na razie nie psuć mu zabawy.

-Jestem bardzo kontent¹⁰¹. Masz waćpan we mnie przyjaciela do grobowej deski.

- W porządku stary.

Napierski poszedł dalej komplementować Olę, a podeszła Marysia.

- To niesprawiedliwe – poskarżyła się. – O moją rękę nikt nie prosi, chociaż też nie jestem brzydka.

⁹⁹ Absztyfikant – konkurent, wielbiciel, zalotnik.

¹⁰⁰ Koncept – dawniej dowcip, żart.

¹⁰¹ Kontent – zadowolony.

- Wiesz co? O tej porze dzieci w twoim wieku powinny już spać – ostudziłem jej małżeńskie zapęły.

- Nie wymądrzaj się – odpała i czym prędzej odeszła, abym nie odesłał jej do łóżka.

Najśmieszniejsze na tym balu było to, że mnie również próbowano złapać w sidła małżeństwa, ale o tym nie warto pisać. Myślę, że to wszystko przez tą plotkę o beczce pieniędzy, którą rzekomo wywoziłem z Łańcuta. Nic nie pomogły wyjaśnienia, że transportowałem tylko rannych. Nikt mi nie wierzył, wobec tego poczekałem na stosowny moment i zmyłem się po angielsku.

W swoim łóżku zastałem leżących w poprzek Wojtka, Michała i Marcina. Żeby ich nie budzić, zająłem wyrko dla służby i, mówiąc górnolotnie, rzuciłem się w objęcia Morfeusza¹⁰².

PORWANIE

Nie było mi dane długo spać. Zdawało się, że ledwo przyłożyłem głowę do poduszki, ktoś zaczął mnie szarpać. Otworzyłem oczy. Nade mną stała splakana Marysia i już obudzeni chłopcy.

- Adaś nieszczęście, Olę porwali – powtarzała histerycznie.

- Co ty mówisz? Kto porwał? Napierski?

- Nie Napierski. Napierski chyba nie żyje. Pojedykował się z takim jednym Goreczkowskim.

- Mój Boże, jak do tego doszło? – Ubierałem się w pośpiechu.

- Normalnie. Goreczkowski zaczął podrywać Olę, wtedy Napierski powiedział, żeby się od niej odczepił, bo Ola jest jego narzeczoną. Goreczkowski spytał, czy są po słowie¹⁰³, Napierski, że nie, ale dałeś mu nadzieję. Goreczkowski stwierdził, że nadzieja to jeszcze nie słowo, czy coś w tym rodzaju. Zaczęli sobie skakać do oczu, wreszcie poszli na dziedziniec się pojedykować. Napierski dostał po głowie i padł jak długi, a Goreczkowski wezwał swoich kumpli i porwali Olę.

¹⁰² Morfeusz – w mitologii greckiej skrzydlaty bóg marzeń sennych; rzucić się w objęcia Morfeusza w przenośni znaczy zasnąć.

¹⁰³ Być po słowie – zaręczyć się, złożyć obietnicę zawarcia małżeństwa.

- Skąd ją porwali? Z sali na oczach wszystkich?

- No nie, z korytarza. Stałyśmy w oknie i patrzyłyśmy na pojedynek. Ola powiedziała, że nie przepuści tej okazji, bo w naszych czasach takie sceny można oglądać tylko na filmach.

- Siedźcie tutaj, pilnujcie zegara i nic przy nim nie majstrujcie – przestrzegłem i zbiegłem na dół.

Część gości już się rozjechała a ci, którzy zostali, byli mocno poruszeni. Helenka płakała.

- Gdzieś się waćpan podziwiał, żeś siostry przed porwaniem nie ustrzegł? – zwrócił się do mnie z wyrzutem pan Ligęza.

- Miałem niespodziewanie pilną sprawę do załatwienia – skłamałem, gdyż gdybym się przyznał, że poszedłem spać, pewnie uznaliby mnie za czubka.

- Mów pan jak na spowiedzi, czy za twoją zgodą Goreczkowski siostrze rapt¹⁰⁴ uczynił?

- Nic podobnego! – zawołałem oburzony.

- Pomiarkuj waćpan, czy na pewno pannę gwałtem wzięto bez jej woli, z chciwości czy zbrodniczego zuchwalstwa, czy też za jej cichym przyzwoleniem?

- Na pewno nie za przyzwoleniem.

- Powiedz waćpan pod przysięgą, żeś osieroconej pannie konkurentów nie odstraszał, nie odwlekał zamążpójścia pod najrozmaitszymi pozorami, nie zmuszał do wstąpienia do klasztoru albo staropanieństwa by nie wypłacać posagu¹⁰⁵ – wypytywała mnie z wyraźną nutą podejrzliwości księżna Ostrogska.

„Chyba im odbiło” – pomyślałem, ale nie odważyłem się powiedzieć tego głośno.

- Daję wam słowo honoru, że nic takiego nie miało miejsca. Wiem na sto procent, że Ola nie zakochała się w Goreczkowskim, bo nigdy go wcześniej nie widziała.

- Może spotykali się potajemnie trafiwszy na nieubłagany odpór rodzicieli? Kawaler nie mogąc przejednać opozycji, taką urządził po swoją Sabinę wyprawę? – badała mnie dalej księżna.

¹⁰⁴ Rapt – dawniej porwanie panny, uwiedzenie.

¹⁰⁵ Posag – majątek, który panna wychodząca za mąż wnosi mężowi, wiano.

Niesamowite, oni wyraźnie sympatyzowali z tym bezczelnym kidnapierem. Nie wiem jaki by to miało finał, gdyby nie nagłe wsparcie ze strony starościca Wolskiego.

- Ja swoim słowem mogę poświadczyć, że dzisiaj na balu Goreczkowski o pannę Aleksandrę wypytywał. A z pytań wynikało, że wcześniej nawet jej imienia nie słyszał.

Na szczęście pan Wolski cieszył się dużym szacunkiem i nikomu nie przyszło do głowy, aby poddawać w wątpliwość jego prawdomówność.

- Szpetny to uczynek, zatem *litterae diffidationis* mu złożyć wypada – pokiwał głową pan Ligęza.

Nie wiedziałem co znaczy to „*litterae diffidationis*”, więc zawołałem gniewnie:

- Muszę ją odbić z rąk tego bandyty, choćbym miał iść do samego piekła!

- Zawrzdy ku potrzebie masz moją pomoc- zaofiarował się Wolski. – Goreczkowski pewnikiem do swojego dworu w Łobozwi ją powiózł, bo poza tym dworem majątku inszego nie posiada.

- Dziękuję panu – nadzieja wstąpiła mi w serce.

- Nie dziękuj pan, bo pannę Aleksandrę nawet przy pana opozycji z opresji bym ratował. Rad jestem, że moja pomoc jest panu cenna, zatem nie traćmy czasu i ruszajmy – powiedziawszy to poszedł powiedzieć swoim ludziom, aby się sposobili do drogi.

Wszystko wskazywało na to, że tym razem nie będę się mógł wykpić od walki, ale trudno, raz kozie śmierć. Wróciłem do swojego pokoju po rynsztunek. Przebierając się opowiedziałem Wojtkowi, Michałowi, Maćkowi i Marysi, co ustaliłem, i co zamierzam robić dalej. Chłopcy postanowili jechać ze mną.

- Sprawa jest na tyle poważna, że powinniśmy ci pomóc – przekonywał mnie Wojtek.

- Wykluczone, nie ma czasu. Zresztą, zaraz ruszamy.

- My razem z tobą – upierał się Wojtek.

- Z czym i na czym? Będziecie biegli za konnymi i strzelali z kijów?

- Pan Ligęza ma pełną stajnię i cały arsenał broni. Porozmawiaj z nim.

- Słuchajcie, sprawa już tak jest skomplikowana, że nie trzeba komplikować jej jeszcze bardziej. Jeżeli masz pomysł, jak przekonać Ligęzę, że powinien was oddać pod komendę Wolskiego, proszę bardzo. Idźcie do niego sami, tylko pamiętajcie, że w razie wpadki nasza sytuacja będzie beznadziejna.

- Głupio nam siedzieć bezczynnie, gdy ty narażasz życie – przyznał Maciek.

- Daj spokój. Nie ma więc powodu abyśmy ryzykowali wszyscy. Zostańcie tu i pilnujcie Marysi, bo jak i ją porwie jakiś narwaniec, to ojciec spierze mnie na kwaśne jabłko.

Zbiegłem na dziedziniec. Lisowczycy z nieukrywaną radością przyjęli nową wyprawę. Wśród pokrzykiwań i wybuchów śmiechu opuściliśmy zamek, i ruszyliśmy w kierunku wschodzącego słońca.

Dzień był nadzwyczaj upalny. Popędzając konie bez ustanku gnaliśmy dobre pięć godzin. Pan Wolski znał wyśmienicie teren, więc zamiast trzymać się głównych szlaków, prowadził nas często na skróty, a to znaczyło bezdroża pełne wertepów i chaszczy. Wreszcie stanęliśmy na wzgórzu, z którego roztaczał się szeroki widok na okolicę.

- Ot i Łobozwia – Wolski wskazał ręką skupisko kilku domów w dolinie. – Tam, pod laskiem gniazdo rodowe Goreczkowskich.

- Możemy niebawem szturmować. W mig rozbijemy ustawionych na straży ludzi, wrota wyłamiemy i pannę Oleńkę z rąk tego niegodziwca wyzwolimy – zapalił się Macedoński błyskając radośnie białymi zębami.

- Goreczkowski nie kiep, pewnie pościgu się spodziewa i zaskoczyć się łatwo nie da – Wolski był ostrożniejszy.

- W takim razie strzelbę dokoła osadzim i ogień z czterech stron dworu założywszy tak z muszkietów i hakownic gwałtownie grzać będziemy, że ani głowy zza winkła nie wychyli – pospieszył z nową radą Macedoński.

- Bacz pan jednak, aczby panna Aleksandra przy sposobności jakiego uszczerbku nie doznała – zdaje się, że Wolski skłaniał się ku takiemu rozwiązaniu.

- Zwariowaliście?! – zawołałem. – Może by najpierw spróbować porozmawiać z tym człowiekiem?

- Chcesz waćpan z Goreczkowskim się układać? – zdziwił się Macedoński.

- Uważam, że rozsądniej będzie postawić mu ultimatum, a kiedy będzie dalej obstawał przy swoim i Oli nie puści, wtedy zastosujemy ostrzejsze metody.

- Mądrze waćpan prawisz – przyznał mi rację Wolski. – Kto wie, czy imć Goreczkowski panny do swoich racji nie przekonał i czy ich już ksiądz stułą nie związał? Mogło by wyjść, żeś waćpan bez pardonu szwagrowi swemu krzywdę zadał.

Postanowiliśmy w końcu, że ja z Wolskim, jak to określił, posłować będziemy do Goreczkowskiego. Wolski, jako starszy i bardziej doświadczony, podjął się mediacji w tej sprawie.

- Powiem, żeś waćpan z nieprzystojnego postępku nie jest kontent. Że przychodzisz z własnej ochoty rzecz po ugodzie załatwić. A załatwiwszy protestacji do grodu nie zanosić. Godzisz się waćpan na to?

- W porządku.

- Dalej sam waćpan będziesz parlamentował.

Podjechaliśmy pod sam dwór. Wyglądało tak, jakby w całym obejściu nie było żywego ducha. Zastukaliśmy. Po chwili usłyszeliśmy szuranie, drzwi się otworzyły i stanął w nich służący.

- Pan doma? – spytał Wolski.

- Doma.

- Więc prowadź do pana.

- Pan dzisiaj niezdrów.

- Prowadź! – rozkazał ostro Wolski i położył znacząco rękę na szabli.

Służący na takie *dictum* bez słowa ruszył w głąb domostwa. My za nim. Faktycznie, Goreczkowski wyglądał na chorego. Leżał na sofie z obandażowaną głową. Zobaczywszy nas podniósł się z trudem.

- Witam waszmościów – wyjęczał i zanim Wolski zdążył powiedzieć chociaż słowo z tego, co sobie wcześniej przygotował, gospodarz ciągnął dalej. – Zawczasu solennie przyrzekam, że panny Aleksandry do Łobozwi nie dowiozł.

Włosy stanęły mi dęba na głowie. Nie bacząc na kiepski stan Goreczkowskiego, złapałem go za bary.

- Coś pan z nią zrobił? – wycedziłem przez zaciśnięte zęby walcząc jednocześnie z pokusą aby go udusić.

- Powiem jak na spowiedzi. Panna okrutnie mi się spodobała, ale kiedy ją na konia wziął, ta odczekawszy czas sposobny, moim własnym półhakiem tak mnie między oczy zdzieliła, że wszystkie gwiazdy na nieboskłonie zobaczył i bez ducha na ziemię runąłem. Panna w tym czasie na moim własnym koniu uciekła.

- Twoi kamraci zaniechali pościgu? – niedowierzał pan Wolski.

- Panna Aleksandra tak sprytnie zamachu dokonała, że nikt nie pojął, co się stało. Zobaczywszy jak spadam pomyśleli, że to jakiś konkurent panny z łukiem się zasadził, przeto z koni zeskoczyli, by obronę szykować i mi pomocy udzielić. Wtedy ona konia zacięła, w las wpadła i tyle ją widzieliśmy.

- Gdzie to było?

- W giedlarowskim lesie.

Odetchnąłem z ulgą. Pewnie zdążyła już wrócić do zamku.

- Dopuszciliście się waćpan szkaradnego czynu i dziękuj waćpan szlachetności imć pana Adama Nowosielskiego, że rekognicji żadnej zanosić nie będzie – powiedział pan Wolski najwidoczniej rzecz całą ugodowo chcąc zakończyć.

- W naszym obyczajach jest wybrankę podstępem uwieść, jednakże ja miałem żonę mam na łbie guza jak arbuza. Sromotna to ujma przez białogłową być pokonanym – żalił się Goreczkowski.

- Boś pan nieprzystojny pobereźnik, co na cnotę panny nastawiałeś – besztął go dalej pan Wolski.

- Despekt że uczynił i gotów jestem poddać się wyrokowi imć pana Nowosielskiego. Jak trzeba krzywdy wynagrodzę, albo stanę do uczciwego pojedynku oko w oko, szablą w szablę. Gotów jestem panny Oleńki na kolanach zmiłowania i przebaczenia się dopraszać, tylko błagam waszmościów, aczby ostrym słowem więcej majestatu szlachcica nie deptać – kajał się nieszczęsny porywacz. Było dla mnie niepojęte, co ta Ola zrobiła, że tak zabełtała facetowi w głowie. I to chyba nie jemu jednemu, gdyż pan Wolski podejrzanie gorliwie angażował się w tę awanturę. O Napierskim nawet nie wspominam.

Po wymianie jeszcze kilkudziesięciu zdań, rozstaliśmy się w zgodzie. Goreczkowski dał słowo honoru, że już więcej na wolność panny Oleńki nastawać gwałtem nie będzie, chyba że panna Oleńka zmieni o nim zdanie i z własnej nie przymuszonej woli odda mu rękę i serce.

Z powrotem jechaliśmy już bez pośpiechu. Do Rzeszowa dotarliśmy dopiero pod wieczór. Byłem zmęczony całodzienną jazdą. Marzyłem, aby zrzucić z siebie zakurzone i mokre od potu ubranie, wykąpać się i wreszcie usiąść na czymś, co nie jest końskim grzbietem.

NOWE ZAGROŻENIE

Ola rzeczywiście wróciła do zamku pana Ligęzy. Niestety, nie oznaczało to końca kłopotów. Ledwo zsiadłem z konia, już lokaj pana Ligęzy kazał mi niezwłocznie stanąć przed jego obliczem.

- Widzę, że wyprawa bez przygód się odbyła – rzekł na mój widok wyraźnie zawiedzionym tonem.

- Tak, pan Goreczkowski zachował się rozsądnie – opowiedziałem mu jak sprawę załatwiliśmy.

- Pan Goreczkowski, choć nie bogaty, do dostojnej szlachty należy, ma rozległe stosunki i wpływowych przyjaciół. Niezła to partia dla panny Aleksandry i choć panna ma krewki charakter, winna rozważyć raz jeszcze, czy propozycji zamęścia nie przyjąć. Waćpan opiekę nad siostrą sprawując, do rozumu jej przemów.

- Myślę, że porwanie nie przypadło jej do gustu i żadne argumenty jej nie przekonają – powiedziałem wykrętnie, gdyż gdyby nawet ten Goreczkowski był samym królem, nie mogłem przecież zezwolić na jej ślub.

- Panieńskie gadanie. Jakby ludzie rok bez wiosny mieć chcieli, żeby młodzi nie szaleli, jak trafnie maksymę ujął mistrz Kochanowski. Każ siostrze w niepamięć puścić uprzedzenie do Goreczkowskiego i dopełnić ceremoniału, nim się wieść

rozniesie, że panna mało co skromności białogłowskiej posiada. Niebýwałe to, by przedniego rycerza, co to w boju pod Kircholmem wielkim męstwem się wslawił, tak po łbie zdzielić, by bez ducha z konia spadł.

- Zobaczę, co się da zrobić – uznałem, że dalsza dyskusja na ten temat nie ma sensu, a zdecydowana odmowa mogłaby postawić mnie w złym świetle.

- Liczę na trzeźwy rozum waszmości, a teraz sprawa wtóra. Jabłonowski, ów obrzydły wieprz, pyszałek zuchwały, pasibrzuch, warchoł i pijanica, co to rodzica waćpana życia pozbawił, a majątek prawem kaduka przejął, list obelżywy do mnie wystosował w sprawie waćpana. Czytaj waść – podał mi opatrzony pieczęciami papier.

Na ręce Mikołaja Spytka Borka Ligęzy, pana na Rzeszowie.

Doszły do mnie słuchy, żeś waćpan niejakiemu Nowosielskiemu schronienia udzielasz. Ten ci Nowosielski, zapomniawszy przystojności szlacheckiej i zwyczaju cnotliwych ludzi, bez wszelkiej przyczyny strzelił do mnie i konia pode mną zabił, co jeno zdrajcy robić zwykli. Przeto czyniąc prawu pospolitemu dosyć, domagam się, by temu niegodziwcowi przekazać, aby się mnie strzegł na wszelkim miejscu: w domu, w kościele, w polu, w łaźni, śpiąc i chodząc. Za to postrzelenie niecnotliwe na jego gardle mścić się będę. Ukażę ja jemu, że go lepiej ugodzę, niż on mojego konia.

Przed wszystkimi szlachetnymi słowem swoim i honorem ręczę, że wszystko, co tenże warchoł Nowosielski o mnie opowiada, to same łgarstwa i pomówienia, bom ja z nim ani jadł, ani pił, ani dziesięciu słów nigdy nie mówił. Radziej bym w zamek mój ze szkła miał, niżli z murów, żeby każdy widział cnotliwe życie moje.

Jakub Jabłonowski

Były to niewątpliwie pogróżki pod adresem syna podstarościego Nowosielskiego, lecz oberwać miałem ja. Mogłem się jedynie pocieszyć faktem, że ten list potwierdzał naszą przybraną tożsamość. Do czasu uporania się z zegarem mieliśmy zapewniony wikt, opierunek i opiekę, co w tych niespokojnych czasach było niezwykle ważne.

- I co waść na to? – spytał pan Ligeza.

- Wredny łgarz i pieniacz. Nie jestem tchórzem podszyty, więc niech nie myśli, że mnie przestraszy – powiedziałem chępliwie.

- Ten łotr niepoprawny, dla którego honor jest hańbą a hańba honorem, nie tylko mścić się zamierza, lecz i inszych bezecnie przeciw pańskiemu imieniu buntuje. Zapomniał jednak ów Jabłonowski, w swojej imaginacji za wzór cnót się mając, że nie jest rzeczą rycerską zapowiedź morderczych zasadzek, co ze zbójnickich obyczajów jest wzięta. Uczciwiej jest do pojedynku na szable stanąć, jak na szlachcica przystało.

- Ma pan rację – przyznałem, gdyż nic innego nie przychodziło mi akurat do głowy.

- Co waszmość zamierzasz?

- Sprawa wymaga głębszego zastanowienia – znów się wykręcałem. Pan Ligeza mój brak zdecydowania wziął jednak za roztropność.

- Bardzo dobrze o waszmości świadczy, iż mimo młodego wieku, nie bacząc na obelgi i inwektywy, rozumny plan chcesz obmyślić. - Jabłonowski z Diabłem pakt zawarł i pospołu gdzie mogą, tam kłają. Z taką komitywą taktycznie trzeba pogrywać.

- Jeśli pan pozwoli, nadal będę walczył pod komendą pana Wolskiego – byłem przekonany, że takiej odpowiedzi oczekuje ode mnie pan Ligeza. Zgadłem.

- Mądrze acan koncypujesz. Łukasz Opaliński i księżna Ostrogska aliantami naszymi są, przez co jest nadzieja z wojny wyjść zwycięsko. A gdy jeszcze Goreczkowskiemu rękę siostry oddasz, będziesz miał waść dziesięć szabel na zawołanie. Goreczkowski nie tylko waści Jabłonowskiego zgnieść i z rodowego gniazda wyścigać pomoże, ale i na sejmikach setkę kresek przysporzy. Mógłbyś się waćpan o urząd po ojcu dobijać.

Jeszcze dobre pół godziny pan Ligeza mówił o sprawach coraz mniej zrozumiałych, a mnie z każdą chwilą ogarniało większe przerażenie. Nie było możliwe, żebym mógł w nieskończoność lawirować wymigując się ogólnikowymi frazesami, a w bijatykach liczyć na szczęście i instynkt samozachowawczy Grota. Trzeba było coś postanowić.

Jeszcze tej samej nocy zwołałem w swojej sypialni zebranie i od razu przystąpiłem do sedna sprawy.

- Słuchajcie, jest gorzej niż źle. Ołę chcę za wszelką cenę wydać za mąż za Goreczkowskiego, Jabłonowski napisał list w którym otwarcie grozi mi śmiercią, a pan Ligeza namawia, abym się ubiegał o jakieś stanowisko po tym niby naszym ojcu. Szykuje się draka jak stąd do Paryża. Co proponujecie, w razie gdy nie uda nam się w porę wrócić do naszych czasów?

- Najlepiej powiedzmy prawdę, pan Ligeza i księżna Ostrogska z pewnością nas zrozumieją – zaproponowała Marysia z naiwną wiarą w wspaniałomyślność naszych protektorów. Nie brała pod uwagę faktu, że ta wspaniałomyślność wynika jedynie z przeświadczenia o więzach krwi.

- To nie wchodzi w rachubę. Wezmą nas za czarowników, a wtedy będziemy mieli przechłapanę na amen. Przypomnij sobie, co spotkało waszego przodka Hieronima, a żył cały wiek później – od razu zanegował ten pomysł Michał.

- Masz rację – poparła go Ola. – Gdyby oddali nas pod sąd inkwizycyjny, nie wymigamy się od stosu.

- Więc może od razu bieżmy zegar i wiejmy stąd?

- Nie ma dokąd. Tutaj życie ludzkie niewiele znaczy. Na porządku dziennym są grabieże i napady, szlachta nieustannie toczy między sobą sąsiedzkie wojny, a Jabłonowski tylko czeka, abym nieostroźnie wychylił nos z zamku.

- Spotkaj się z nim i wyjaśnij, że nie jesteś tym Nowosielskim, o którego mu chodzi – Michał swoim zwyczajem uważał, że najlepiej załatwić sprawę ugodowo.

- Byłoby to kazanie do głodnego wilka. Poza tym wyszłoby na jaw to, co tak skrętnie ukrywamy.

- I Ola będzie musiała wziąć ślub z Goreczkowskim – przypomniała Marysia.

- Z tym jest najmniejsze zmartwienie – powiedziała lekceważąco Ola.

- Prawdę mówiąc ten Goreczkowski to super przystojny chłopak. A szablą wywijał niby sam Wołodyjowski. Jak ciachnął Napierskiego, to ten tylko ręce rozłożył, powstał chwilę i... rymś na ziemię. Całkiem jak Kmicic w „Potopie”. Fajnego miałabyś męża.

- Nie o to chodzi, z kandydatami na mężów sama sobie poradzę. Prawdziwe niebezpieczeństwo to otwarty konflikt z Jabłonowskim.

- Wyjdiesz za mąż za któregoś z nich?

- Marysiu, co ci chodzi po głowie? – skarciłem ją. – Mamy naprawdę zbyt poważny kłopot, aby tracić czas na niemądre żarty.

- Ale ten Goreczkowski...

- Pomyśl lepiej, co przeżywają nasi rodzice... – zbyt późno ugryzłem się w język. Na wspomnienie domu oczy Marysi natychmiast napełniły się łzami. – Tylko nie becz, wszystko będzie dobrze.

- Uważam, że zbyt słabo przykładaliśmy się do rozwiązania zagadki zegara – powiedział Wojtek. – Proponuję, aby od dzisiaj, w każdy wieczór, próbować przynajmniej przez godzinę.

- Albo nawet dwie – dorzucił Maciek.

- Jeszcze coś mi przyszło do głowy, za pierwszym razem puszka wahadła dała się otworzyć nad podziw łatwo. Przypuszczam, że Adam przypadkowo wykonał jakąś czynność, która jest niepozorna, ale niezbędna dla odblokowania mechanizmu. Spostrzeżenie Oli było trafne, gdyż później, niby wszystko robiłem tak samo, ta jednak ani drgnęła. Musiałem przeoczyć jakiś drobny ruch, albo może kolejność ruchów. Tylko jaki? Mówią, że diabeł tkwi w szczegółach i mają rację.

Postanowiliśmy jeszcze tej samej nocy, ruch po ruchu, odtworzyć procedurę otwierania puszek. Ułożyliśmy zegar na łóżku, potem wyjąłem wahadło, zdjąłem puszkę z pręta, obejrzałem i spróbowałem rozkręcić. Niestety, bez rezultatu.

- Czy potraficie powiedzieć o czym zapomniałem?

- Zanim zacząłeś rozkręcać, potrząsałeś puszką i przyłożyłeś ją do ucha – przypomniała Marysia.

Powtórzyłem wszystkie czynności jeszcze raz, lecz tym razem z potrząsaniem i przykładaniem do ucha. I tym razem na nic to się zdało.

- I co teraz? – Potoczyłem po wszystkich bezradnym wzrokiem.

- Zdaje się, że najpierw próbowałeś kręcić w lewą, a potem w prawą stronę. Tak, pamiętam, odkręcałeś w prawą stronę! – zawołał Maciek.

Powtórzyłem wszystko od początku łącznie z potrząsaniem i przykładaniem do ucha, tylko tym razem najpierw próbowałem kręcić najpierw w lewo, potem w prawo i... dalej nic..

- Na dzisiaj dajmy już temu spokój. Proponuję żeby każdy przypomniał sobie jak najwięcej szczegółów poprzedzających moment otwarcia puszki. Jutro wieczorem porównamy i wypróbujemy wszystkie dane – Ola nigdy nie traciła nadziei.

Następny dzień przyniósł następną niespodziankę. O świcie pod murami zamku przecwałował jakiś jeździec, prawdopodobnie sam Jabłonowski i wypuścił z łuku strzałę, która utkwiała w bramie. Do strzały była doczepiona kartka, a na niej słowa skierowane do mnie:

Nowosielski, cóżeś ty za rycerz, że za plecami inszych się chowasz, lecz widać tak być musi, bo całe twoje męstwo w gębie. Ale moja zemsta i tak cię nie minie, ty zdradliwy, oszukańczy psie. Gotuj się na śmierć Nowosielski.

Jakub Jabłonowski

Strzałę z listem najpierw zanieśono panu Ligęzie, a ten rzecz jasna wezwał mnie i dał do przeczytania. Czytałem bardzo długo zastanawiając się jednocześnie, jak te pogrożki skomentować. Najbardziej honorowym wyjściem byłoby wezwać Jabłonowskiego na pojedynek. Od biedy mógłbym się strzelać, lecz polska szlachta w pojedynkach używała wyłącznie szabel, a na tym polu miałem zero szans. Było jasne jak słońce, że skompromituję się nieznaną fechtunką i w minutę zostanę posiekany jak sznycel. Niestety, nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

- Muszę temu idiocie dać jakąś nauczkę, żeby sobie popamiętał – powiedziałem, bo nie sposób było dłużej udawać, że czytam.

- Jabłonowski widać zasadzkę na waćpana urządził i koniecznie z zamku zamiaruje wywabić – stwierdził pan Ligęza.

- No właśnie – podchwyciłem tę myśl. – Dlatego trzeba pokrzyżować mu plany i postępować inaczej, niż się spodziewa.

- Słusznie waćpan czynisz, że miast gwałtownie szabli dobywać, cierpliwie na sposobną chwilę chcesz czekać, by oszczercy do gardła skoczyć.

Jeszcze raz się udało, lecz dobra passa nie mogła trwać długo. Wieść o strzale z listem lotem błyskawicy obiegła zamek przysparzając mi niepotrzebnej sławy. Na jej skutki nie czekałem długo. Już za drzwiami gabinetu pana Ligęzy natknąłem się na Wolskiego, który chciał ze mną przedyskutować taktykę dalszej walki z Jabłonowskim. Poszliśmy na zamkowe mury i usiedliśmy w cieniu wieżyczki strzelniczej.

Tego dnia pogoda była nadzwyczaj skwarna. Od tej strony zamku rozciągał się malowniczy widok. W dole, u stóp murów, połyskiwała srebrem rzeka. Za rzeką ciągnęły się łąki dojrzewającego zboża, łąki i zagajniki. Gdzieś tam przycupnęły chłopskie lepianki kryte strzechą. Wiedziałem, że tylko z wysokości magnackiej rezydencji wszystko wygląda tak sielsko. Rzeczywistość nie była taka różowa.

- Mocno parol sobie na waćpana zagiął ten Jabłonowski - na początek rozmowy Wolski stwierdził oczywistość.

- Zgadza się - przytaknąłem.

- Co zatem wać zamierzasz?

- Jabłonowski zastawił na mnie pułapkę i chce mnie wywabić z zamku. Pan Ligęza popiera pomysł, aby poczekać na stosowną chwilę i dopiero wtedy zaatakować.

- Słuszna taktyka - przyznał Wolski i zaraz zmienił temat. - Łukasz Opaliński od szpiegów wie, że Diabeł lada dzień spodziewa się siedmiogrodzkich posiłków, a tymczasem zaledwie sto koni ma pod rozkazami. Kiedy bandy cudzoziemskie połączą się z Diabłem, urośnie on w taką siłę, że los burzycieli Łańcuta będzie straszny. Należy temu zapobiec i drzewiej Diabła dopaść.

- Oczywiście, tak będzie najrozsądniej - przytaknąłem, gdyż nic innego nie mogłem zrobić, tym bardziej, że byłem w gronie owych burzycieli.

- Łukasz Opaliński ogarnął siecią czat i podjazdów całą przestrzeń, na której mógł przebywać Diabeł, rozesłał na wszystkie strony szpiegów, śledzących każde jego poruszenie i organizuje oblavy jak na dzikiego zwierza.

- Czy wiadomo coś o Jabłonowskim?

- Jabłonowski jak może Diabła wspomaga. Najeżdża wszystkich, którzy Opalińskiego zbrojnie poprzeć gotowi. Zatem panie Adamie Opalińskiemu szablą służąc, swojego wroga osłabisz.

- Byłbym niewdzięcznikiem gdybym nie pomógł. Oczywiście panie Janie, pan Opaliński może pan na mnie liczyć.

Sprzyjał mi taki obrót sprawy. W dużej grupie wojska miałem większą szansę jakoś przetrwać tę awanturę.

Po krótkiej chwili milczenia, Wolski znów zaczął z innej beczki.

- Jakże miewa się panna Aleksandra? Zapewne cierpi z powodu zamachu?

- Już doszła do siebie – powiedziałem chociaż, prawdę mówiąc, Ołę przestraszyć wcale nie jest łatwo.

- Dzięki Bogu.

- Siostra jest wdzięczna panu za chęć pomocy – powiedziałem to ot, tak sobie, ale panu Wolskiemu sprawiło to widoczną przyjemność.

- Rad bym te słowa z jej własnych usteczek usłyszeć, ale dzięki i za to. Przekaż waszmość panie Oleńce, żem zawsze na jej usługi gotów. Choćby mi przyszło życie w jej sprawie oddać.

Oho, nie myliłem się! Jego też zdrowo rąbnęło, ale miałem nadzieję, że nie posunie się do tak radykalnych środków, jak Goreczkowski.

- Powtórzę jej – obiecałem.

Na szczęście zbliżył się pan Kalisz, więc przerwaliśmy tę, niewygodną dla mnie rozmowę.

WIDMO NOWEJ WOJNY

Co wieczór ponawialiśmy próbę powrotu do naszych czasów, ale bez rezultatów. Puszka ani drgnęła. Tymczasem od pana Opalińskiego przyjechał posłaniec z tajnymi planami, pan Jędrzej Tęczyński. Miałem zaszczyt, obok księżnej Ostrogskiej i pana Wolskiego, uczestniczyć w naradzie, jaką zwołał zaraz Pan Ligeza. Już dość dobrze się orientowałem w tutejszych problemach i nie siedziałem jak na tureckim kazaniu, jednak nie zabierałem głosu w dyskusji. Słuchałem.

Ze słów pana Tęczyńskiego wynikało, że sytuacja przedstawiała się mniej więcej tak. Opaliński nad Sanem za Leżajskiem założył warowny obóz, aby na wszelki wypadek mieć punkt oparcia. Marcin Stadnicki, rodzony brat Diabła, gromadził siły w Wojutyczach. Sam Diabeł, będąc ciągle w ruchu, nadal oczekiwał na siedmiogrodzkie posiłki i póki co, z prawdziwie diabelskim sprytem wymykał się z zasadzek i w odwecie uderzał tam, gdzie się go najmniej spodziewano.

Plan Opalińskiego był prosty, zakładał zmniejszenie oczek w sieci, którą zarzucono na Diabła.

- Są wieści, że posiłki siedmiogrodzkie stoją już na granicy. Diabeł w czterdzieści koni, obładowany ciężkim złotem wyjechał im naprzeciw. Trzeba go koniecznie pojmać, żeby to spotkanie nie przyszło do skutku - mówił pan Tęczyński.

- Andrzej Popiel imieniem rodziny swojej i całej zaściankowej szlachty złożył świadectwo, że Diabeł knuje niebezpieczne machinacje z Gabrielem Batorym. Z tego wnioskować należy, że Diabeł nie tylko przeciw Opalińskiemu chce wykroczyć, ale w całej Rzeczypospolitej raban uczynić. Szykuje się ciężkie niebezpieczeństwo waszmościowie, bo zdrada stanu i zbrojny zamach na tron.

- Bezpieczeństwo publiczne jest zagrożone - potwierdził pan Ligęza. - Trzeba do Żółkiewskiego poselstwo śłać i pomocy się dopraszać, bo gdy zbrojne kupy ruszą z południa, siły Opalińskiego i aliantów nie dadzą im odporu.

Nareszcie padło nazwisko, które pozwoliło mi dokładniej określić czas. Pamiętałem, że Żółkiewski był hetmanem i poległ pod Cecorą w 1620 roku, a skoro jeszcze żył, byliśmy na początku siedemnastego wieku.

- A trzeba - przyznał pan Tęczyński. - Jednak Diabła należy próbować wpierw pochwycić.

- Ile tymczasem mamy ludzi? - zainteresował się Wolski.

- Jezdnych kozaków, usarzy i zbrojnej czeladzi będzie tysiąc i pan Opaliński fortunę topi dalej zaciągi rot swawolnych czyniąc. Każdą nową szablę z wdzięcznością witamy, bo Diabeł spodziewa się trzy razy więcej.

Pomyślałem, że w takiej sytuacji mógłbym do kompanii pana Wolskiego dołączyć jeszcze Wojtka, Maćka i Michała. Postanowiłem jednak nie ryzykować ich

zdrowia i życia. Dotąd, chociaż gonieni do roboty, byli bezpieczni, więc lepiej by tak pozostało.

- Mniemać należy, że insi dość mając uciążenia od Diabła i niszczenia włości, w sukurs nam przyjdą. Już oprócz szlachetności wielkiej pana Ligęzy i księżnej Ostrogskiej, pomagają nam Kostkowie, Świętosławscy, Wapowscy i Goreczkowscy. Da Bóg pomyślnie tym niepokojom uczynimy koniec – ciągnął dalej pan Tęczyński.

- Czy są jakie wieści o Jabłonowskim, tym, który z Diabłem ma znowę?- Nareszcie Wolski zadał pytanie, którego ja nie miałem odwagi zadać.

- Głucho o nim od czasu, gdy majątność prochińską spustoszył, kościół desertował i Nowosielskiemu wielkim tyraństwem śmierć zadał. Pewnie w Wojutyczach siedzi i Diabłowemu bratu zbrojną pomocą służy.

- Wiedzieć waszmości należy, że Jabłonowski na pana Adama się zasadza i listy obelżywe śle, by wciągnąć go do zdrażliwej matni.

- Od słowa do szabli niedaleko. Rozumiem, że acan też do naszej kompani przystajesz? – zwrócił się do mnie pan Tęczyński.

- Pan Adam serca nie ukoji póki krwi przelanej, krzywdy i szkody nie pomści – zaręczył za mnie pan Ligęza.

Dalej, posługując się mapą, pan Tęczyński objaśnił sposób rozlokowania poszczególnych oddziałów, trasy patroli, miejsca zasadzek oraz kontaktowania się pomiędzy poszczególnymi oddziałami i dowództwem.

- Widzę rad, że plan kampanii opracował ktoś, kto jest doskonale obznajomiony z rzemiosłem wojennym – przyznał z uznaniem pan Wolski. Było to dla mnie o tyle pocieszające, że dobrze obmyślana taktyka jest bezpieczniejsza, niż żywiołowa bijatyka.

Zaczęły się werbunki chętnych do walki. Pan Ligęza przyjmował i, jak trzeba było dozbrajał, wszystkich chętnych. Tłumnie ściągali węgierscy sabaci, Wołosi, Tatarzy, Niemcy, Szkoci, Kozacy, a nawet Cyganie zwani Filistynami. Niesamowita zbieranina bandziorów.,

Natychmiast skorzystali z tego moi koledzy. Z wielkim zadowoleniem przyjęli nadarzającą się okazję za nic mając moje perswazje, by dali sobie z wojaczką spokój. Jeszcze kilkanaście dni temu byliśmy małolatami, chodziliśmy do szkoły, nie

mieliśmy dowodów osobistych, nie mogliśmy głosować w wyborach, a cała odpowiedzialność za nas spadała na starszych. Tutaj musieliśmy dorosnąć. I to jak!

- Nie jesteśmy gorsi od ciebie, też damy sobie radę – upierali się i postawili na swoim.

Jako służba mogli co najwyżej awansować na hajduków, czyli służyć w piechocie. U pana Ligęzy i księżnej Ostrogskiej zacząłem zabiegać dla nich o odpowiednie stroje, rynsztunek i, co najważniejsze, konie, aby mogli dołączyć do oddziałów jezdnych. Nie było to łatwe i pewnie nic bym nie wskórał, gdyby nie interwencja Oli.

- Panie Janie, moi służący są mi bliscy jak bracia. Spałabym spokojnie gdybym wiedziała, że znajdą się pod pańską opieką, podobnie jak mój drogi braciszek Adaś – mówiła uśmiechając się tak, że zmiękłby nawet kamień.

Dla pana Wolskiego spełnienie tej prośby było sprawą najwyższej wagi. Natychmiast pomógł mi przekonać naszych mocodawców, że „Wojtek, Maciek i Michał to sługi rękodajne szlacheckiej kondycji, które mścić się krwawo obrazy pańskiej zamiarują”. Cokolwiek to znaczyło, podziałało i w końcu szczęśliwie wszyscy znaleźliśmy się w jednym oddziale.

Jak powiedziałem wcześniej, Wojtek, Maciek i Michał nie posiadali się z radości, ale zaraz po pierwszym wypadzie w pole, zrzędała im mina.

Patrowaliśmy tereny na wschód od Rzeszowa. Ruszyliśmy jak zwykle galopem i gnaliśmy bez odpoczynku przez kilka godzin. Chłopcy dość dobrze trzymali się w siodłach, ale już po dwóch godzinach wyraźnie mieli dość. Maciek na dodatek dostał konia równie humorzastego jak mój Grot i ciekaw byłem jak prędko go utemperuje. Na razie szarpiąc wędzidłem ciągnął się na końcu grupy.

- Jeżeli usłyszę chociaż słowo skargi, wróćcie do produkcji świec – przestrzegłem uparciuchów, gdy wieczorem ledwo żywi zsuwali się z końskich grzbietów. Posłali mi nienawistne spojrzenia i w milczeniu, oporządziwszy konie, z trudem powłócząc nogami, powlekli się do mojej sypialni. Tam, nawet nie zdejmując ubrań, padli na łóżko jak kłody i nie było siły, żeby ich zmusić do zejścia na kolację.

Przez pięć kolejnych dni było spokojnie. Nie natknęliśmy się na żadnych nieprzyjaciół. Pan Wolski doszedł do wniosku, że tamta strona zbiera siły, by definitywnie uderzyć, więc sam też zmienił taktykę. Na rekonesans wysyłał małe

oddziały pod dowództwem doświadczonych oficerów, sam zaś zajął się organizowaniem armii. Wojtek, Maciek i Michał mogli przynajmniej odetchnąć.

NOWY ABSZTYFIKANT OLI

Jak już powiedziałem, w związku z werbunkiem, do obozu założonego za murami zamku ścigało wiele ludzi najróżniejszego autoramentu¹⁰⁶. Od rodowej szlachty po różne podejrzané typy spod ciemnej gwiazdy. Na szczęście każdy znał swoje miejsce w szeregu i, poza zwykłymi przepychankami, nie było większych kłopotów z dyscypliną. Dopiero Ola wprowadziła prawdziwy zamęt. A było to tak.

Wśród tej różnorodnej zbieraniny znajdował się typowy zajazdowiec, niejaki Kołgan. W niedzielę, ów człowiek zobaczywszy Olę w kościele, zapałał ku niej, jak tu mówią, takim afektem, że całkiem odebrało mu rozum. Odtąd biedak stawał na głowie, aby zwrócić na siebie jej uwagę, co nie było takie proste.

Tutejsze szlachcianki nie pałętały się samopas po mieście, a tym bardziej po wojskowym obozowisku. Mogły najwyżej spacerować po ogrodzie i to na dodatek w pod okiem służącej. Tak więc Ola i Marysia, jako damy do towarzystwa, całe dni spędzały z Helenką, Konstancją i Pudencjaną. Nie było to zajęcie zbyt zajmujące. Zainteresowania magnackich córek ograniczały się do czytania żywotów świętych, głupich romansów i wyszywania chusteczek do nosa.

Niekończącym się tematem rozmów był ostatni bal. Przy okazji Marysia zdradziła mi, że panna Helenka była zawiedziona, gdyż ani razu z nią nie zatańczyłem. Zupełnie jej nie rozumiem. Przecież przez cały czas tańczyła z innymi, którzy przynajmniej nie mylili kroków i nie deptali po nogach. Ale to nie ważny szczegół.

Tak więc każdy, kto nie był odpowiednio wysoko urodzony i nie miał wstępu na pańskie pokoje, nie mógł marzyć o zbliżeniu się do wysoko urodzonych pańienek. No, chyba że należał do pałacowej służby. Kołgan znalazł jednak na to sposób, po prostu przekupił pannę Mariannę i posłał Oli przez nią liścik.

¹⁰⁶ Autorament – typ, rodzaj, pokrój.

Ola jak to Ola, liścik przeczytała, pożartowała na jego temat z Marysią i nie zawracała sobie nim więcej głowy. Za to Kołgan nie ustawał w zabiegach. Nie dostawszy od wybranki serca zdecydowanego kosza wysnuł wniosek, iż nie jest bez szans i uderzył w moją stronę. Zaczepił mnie kiedyś na ulicy i wyłuszczył swoją sprawę.

- Imć panie Adamie – zaczął przejęty jak pierwszoklasista przy tablicy. – Okrutniem sobie pańską siostrę upodobał.

- Mam dwie siostry – odburknąłem niechętnie i przyśpieszyłem kroku. Nie cierpiałem rozmów z tymi rąbniętymi ofiarami Amora.

- Panny Oleńki pragnę jak sucha ziemia dżdzu, jak ryba wody, jak...jak Orfeusz za swoją Eurydyką pójdę za nią do piekieł – odezwał się w nim psiakość poeta.

- Daj spokój stary, napytasz sobie biedy.

- Panie Adamie, dłużej nie zdzierzę. Bez panny Oleńki nie ma dla mnie życia. Przyszło mi na myśl, że ten narwaniec, wzorem Goreczkowskiego, spróbuje Ołę porwać i nowy kłopot gotowy. Postanowiłem definitywnie go zniechęcić.

- U siostry niewiele znaczy moje błogosławieństwo dla facetów, w których sama nie gustuje. Więc odczep się ode mnie raz na zawsze, bo szkoda twojej fatygi. W tym momencie podszedł do nas pan Wolski. Słyszał naszą rozmowę i nawet nie próbował udawać, że jest inaczej.

- Jak śmiesz naprzykrzać się panu Nowosielskiemu – zaczął besztać Kołgana, ale ten nie był z tych, co to dają sobie w kaszę napluć.

- Nie pańskie interesa! – odpalił zuchwale.

Twarz Wolskiego stężała.

- A od panny Oleńki wara. Zakazuję ci podchodzić do niej na mniej, niż sto kroków.

Teraz Kołgan wyglądał jakby za chwilę miał dostać apopleksji. Przez długą chwilę mierzyli się nienawistnymi spojrzeniami.

- Niczego waćpan nie możesz mi zakazywać, a skoroś to uczynił, ścierpieć tego nie mogąc, na pojedynek cię wyzywam.

- Chcesz się ze mną bić? Nie godzienieś tego. Gdybyś był mi równy, biłbym się z tobą w każdym miejscu i każdej porze, choćby w jednej koszuli. Ale żeś mi nie jest równy, tedy cię tak basałkiem obić każę, jako takich co to gębują i takowe zuchwalstwa jako ty czynią.

Dla szlachty pojedynki były honorowym rozwiązywaniem sporów. Nie pojedynkowano się z chłopami, służbą i w ogóle z ludźmi niskiego stanu. W takiej sytuacji odpowiedź Wolskiego była dowodem pogardy, toteż Kołgan odebrał ją jako ciężką obelgę.

- Od dzisiaj strzeż się mnie pan, panie Wolski. Masz we mnie wroga do grobowej deski, a kochać panny Oleńki nie zaprzestanę i nic panu do tego.

Obrażony w najwyższym stopniu Kołgan zwołał swoich ludzi i oznajmił im, że został przez Wolskiego śmiertelnie na czci ugodzony. Jego kompani po wysłuchaniu historii zajścia, w jego interpretacji rzecz jasna, też poczuli się obrażeni i postanowili dać wyraz swojemu oburzeniu.

Nie widziałem jak zaczęła się awantura, bo gdy zaalarmowany przez Maćka przybyłem do obozu, trwała tam już bijatyka na całego. Bili się wszyscy ze wszystkimi.

Chwilę później przybył Wolski i pan Kalisz.

- Macedoński do mnie! - zawołał Wolski.

Macedoński, który akurat trzymał za kark jakiegoś Tatarzyna, grzotnął nim o ziemię i natychmiast stawiał się na rozkaz.

- Co to za gwałty i wybryki?

- Kołgan namiotawszy na waćpana obelg rozmaitych, ze swoimi ludźmi dopuścił się burdy.

- A wy tu bez winy? Gdybyście się zdali na sąd zwierzchności zamiast do gardeł im skakać, do burdy by nie doszło.

- Nie godzi się słuchać spokojnie, jak taki pobereźnik na honor dowódcy zamach czyni i panny Oleńki imienia używa. Tośmy na nich nastąpili.

- Lecz oni widać wyszturkać się placu łatwo nie dawają - zamruczał sarkastycznie pod nosem Wolski, po czym krzyknął. - Natychmiast swoich pod moją komendę zbierać!

Macedoński skoczył zwoływać ludzi i już po dziesięciu minutach stali przed nim wszyscy lisowczycy. Pan Kalisz również gromadził swoich hajduków.

- Robić zółwia – rozkazał krótko Wolski. Za Macedońskim biegiem ustawili się żołnierze formując wydłużony trójkąt. – A teraz naprzód!

Żywy klin wbił się pomiędzy walczących spychając ich na boki, a tam już czekali na nich hajdacy, którzy waląc pałkami po zacierzewionych łbach, ogłędnie mówiąc, pozbawiali żołdaków woli dalszej walki.

Po niecałej godzinie w obozie zapanował spokój, a poszkodowani bez reszty zajęli się opatrywaniem ran. Tylko Kołgan skrzyknął swoich ludzi i grożąc nam krwawą zemstą, opuścił obóz.

Wieczorem jak zwykle siedziałem przy zegarze próbując dojść, jak otworzyć mechanizm. Jednak tym razem chłopcy uważali, że nie ma co się gorączkować. Zdążyli już przywyknąć do koni, a w dni, w które nie wyruszali na patrole, spędzali w obozie, albo z grupą lisowczyków szwendali się po mieście zaczepiając mieszczki i wszczynając awantury. Imponowała im zawadiacka fantazja tych skorych do szabli zuchwalców, przecherów, pyszałków i chwalipiętów. Z zachwytem słuchali opowieści o pojedynkach, bitwach i różnych rozróbach. Z zazdrością i podziwem patrzyli na ich pocięte bliznami gęby, bo każda blizna miała swoją niezwykłą historię.

- Persa Tatarzyn mówił, że będziemy oblegać Wojutycze – powiedział Maciek, jakby to był argument, który usprawiedliwiał zaniechanie prób powrotu do naszych czasów.

- No to co?

- Jak to co? Nareszcie zobaczymy prawdziwą bitwę.

- Widziałem zdobycie Łańcuta i wierz mi, za nic nie chciałbym oglądać niczego podobnego po raz drugi.

- Mądrała. Sam widział a nam odradza. Czy nie uważasz, że osobiście powinniśmy ocenić, czy to nam się spodoba czy nie?

- Wracajmy, tutaj jest strasznie nudno. Już nie mogę wytrzymać z tą Helenką, Konstancją i Pudencjaną. Helenka tylko wzdycha do Adama, Konstancja do pana Wolskiego, a Pudencjana marzy, by zostać żoną króla. Okropność.

Udałem, że nie dosłyszałem słów o tym wzdychaniu Helenki. Byłem pewien, że Marysia coś przeinaczyła. Zresztą, niby z jakiego powodu jakakolwiek dziewczyna miałaby wzdychać akurat do mnie? Żadnej nie dałem ku temu powodów.

- Jak nic nie będziemy robić, utkniemy tutaj na zawsze. Wcześniej czy później sprawa się rywnie. Wyjdzie na jaw, że nie jesteśmy tymi Nowosielskimi, za których się podajemy i... szkoda gadać – powiedziałem poważnie.

- No właśnie – poparła mnie Ola. – Lada dzień możemy się znaleźć w sytuacji, że tylko szybka ucieczka w inną rzeczywistość, może być jedynym ratunkiem. Zatem wyężajcie szare komórki. Gdy już poznamy wszystkie tajniki podróży w czasie, będziemy mogli przeżyć nie jedną taką przygodę.

NOWOSIELSKI KONTRA NOWOSIELSKI

Słowa Oli okazały się prorocze. Oczywiście w części dotyczącej potrzeby szybkiej ucieczki. Ale po kolei.

Któregoś dnia od pana Tęczyńskiego przyszła wiadomość, że służebni Diabła, skuszeni wysoką nagrodą, zdradzili swego pana. Donieśli, że przybycie siedmiogrodzkich posiłków nadal opóźniało się i Diabeł czekając na nich, ukrył się w Buszkowicach. Wolski natychmiast zebrał wszystkich jezdnych i ruszyliśmy drogą na Przemyśl. Pan Kalisz z pieszymi miał maszerować na Wojutyce. Opaliński zakładał bowiem, że gdyby Diabłowi udało się ująć z obławy, schroni się najprawdopodobniej w obwarowanych i gotowych do długiej obrony wojutyckim pałacu, dlatego zawczasu kierowano tam część zaciągów.

Wojtek, Maciek i Michał uchachani po pachy, cwałowali gdzieś z tyłu pomiędzy swoimi nowymi kumplami. Byli szczęśliwi, że wreszcie przeżyją wielką przygodę. Nawet nie przypuszczali jak wielką

Po kilku godzinach wpadliśmy do Buszkowic. Niestety, Diabła już nie zastaliśmy. Szlachcic, który udzielał mu schronienia, zamknął się w swoim dworku na cztery spusty i nie chciał z nami rozmawiać. Miejscowi chłopci więci na spytki zeznali, że „Diabeł w sto koni uszedł na Stary Sambor”.

Ruszyliśmy jego śladem i otoczyliśmy miasteczko. Niestety, Diabeł wywinął się z matni, lecz nikt nie potrafił powiedzieć dokąd tym razem podążył. Jedni mieszczanie utrzymywali, że do Rybotycz, inni, że do Hadli, jeszcze inni, że do Łańcuta. Znalazł się nawet ktoś kto mówił, że słyszał jak ludzie Diabła mówili o Wojutyczach.

Pan Wolski kazał Macedońskiemu wziąć część ludzi i sprawdzić wszystkie tropy. Sam ruszył na Wojutycze. Wojtek, Maciek, Michał i ja, z rozkazu Wolskiego, znaleźliśmy się w jego oddziale i, jak się potem okazało, była to prawdziwa łaska opatrności. Ale o tym potem.

Ujechaliśmy nie więcej niż pięć kilometrów, gdy natknęliśmy się na kilkunastu harcowników Diabła. Harcownicy widząc naszą liczebną przewagę, rzucili się do ucieczki. My rzecz jasna za nimi. Uciekali nie tylko z konieczności, ale i z rachuby. Wiedzieli, że załoga z obwarowanego dworu, przywita nas morderczymi salwami.

Podstęp się udał ale tylko częściowo. Co prawda padło kilku rannych i musieliśmy odstąpić od szturmów i z daleka prowadzić „bombardament”, ale nadciągnęły już oddziały pana Opalińskiego, księżnej Ostrogskiej, a z tyłu szli jeszcze z posiłkami Kostkowie, Świętosławscy. Wapowscy, Goreczkowscy no i pan Kalisz ze swoimi hajdukami.

Ponowiono szturm. Kłębiło się przy bramie i murach, a mój Grot swoim zwyczajem pchał się gdzie największy tumult. Wojtek i Maciek zginęli mi z oczu, zaś Michał przezornie wycofał się poza linię rażenia broni palnej.

Nagle od strzałów zajęły się słomiane czaty, którymi były wyłożone mury i ze wszystkich stron wystrzeliły w górę olbrzymie słupy ognia. W jednej chwili morze płomieni ogarnęło cały wojutycki pałac. Sabaci i hajducy Stadnickiego, brata Diabła, otoczeni ze wszech stron ogniem i nieprzyjaciółmi, bronili się rozpaczliwie, ale ustępowali pod naporem coraz to świeższych oddziałów napastników.

Wraz z innymi zostałem wepchnięty na podwórze i wtedy zobaczyłem tuż przed sobą Kołgana. Nic sobie nie robiąc z toczącej się wokół rąbaniny, przedzierał się w moją stronę. Za nim krok w krok podążał jakiś młody szlachcic. Chcąc uniknąć

spotkania z nim, odwróciłem głowę i próbowałem zmusić konia, by zrobił w tył zwrot. Nie było to łatwe, gorzej, było niemożliwe, gdyż Grot miał akurat inne plany.

- Witam pana, panie Adamie Nowosielski! – zawołał zajeżdżając mnie z boku.

Z trudem osadziłem Grota w miejscu

- Cześć Kałagan – rzuciłem niedbale.

- Pan Adam Nowosielski? – upewnił się towarzyszący mu szlachcic, jakby nie słyszał słów Kołgana.

- Nowosielski – potwierdziłem.

- Skąd rodem, jeśli nie tajemnica?

Czułem, że coś się święci, ale nie miałem wyboru.

- Z Prochińska

- Z Prochińska waćpan mówisz?

- Prochińska - potwierdziłem.

- A kim był waści rodzic? Może przypadkiem podstarościm Janem Nowosielskim?

- Owszem – zaczęła mnie opuszczać pewność siebie.

-Zatem zmiarkuj waćpan, że ja też jestem Adamem Nowosielskim z Prochińska, synem podstarościego Jana Nowosielskiego. Co waść na to? – Jego ton nie wróżył niczego dobrego.

- Bo to jednemu psu Burek? – próbowałem zbagatelizować sprawę i wycofać się sprytnie.

- O ty bezecny infamisie, pism imieniem mnie jeszcze obrażasz? – Zakreślił szablą efektownego młynka.

Kołgan przez chwilę przyglądał nam się z szyderczym uśmiechem, zaciął konia i odjechał. Najwidoczniej nie interesował go wynik starcia.

- Wszystko panu wyjaśnię, tylko...- Adam Nowosielski bis nie dał mi skończyć

- Jakkolwiek się zwiesz, jesteś intrygantem, grabieżcą mojego imienia.

- Niech pan da sobie wytłumaczyć, że...

- Nie jesteś waćpan godzien, by dać ci posłuchanie. Chwyciłeś się waćpan postępków nieprzystojnych, złorzeczeństwa szpetne na dobrą reputację i honor

pocziwych osób sprowadzając. Nic dla mnie miłszym nie będzie, jak swoją ręką napastwić się nad twoim nie cnotliwym ciałem. Stawaj waść do walki.

Co za ironia losu! Mój własny przodek, trafem też Adam Nowosielski, chciał mnie posiekać na kotlet i nic nie wskazywało na to, że uda mi się z nim dogadać.

- Pozabijać się zawsze zdążymy. Porozmawiajmy chociaż pięć minut, wszystko wyjaśnię – próbowałem przemówić mu do rozsądku.

- Walcz pobereźniku! – natarł na mnie szablą. Niemal w ostatniej chwili zdołałem się zasłonić.

Dookoła wszystko płonęło, lała się krew, jęczeli ranni, rozlegał się szcęk broni, huk wystrzałów, a ja walczyłem ze swoim praprapradziadkiem. Właściwie nie walczyłem, tylko odparowywałem ciosy. Nasze konie podenerwowane zapachem krwi i dymu, niespokojnie rżąc i parskając, kręciły się w kółko utrudniając pojedynek.

- Co waść szablą machasz jako cepem? Możesz acan taki rycerz, co to z krzaków strzela i kokosze dławi?

Każdy szlachcic w tamtej epoce słysząc taką zniewagę, z pianą na ustach ruszyłby do ataku jak burza. Ja tego nie zrobiłem przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze – nie umiałem walczyć na szable, a po drugie, gdybym nawet walczył jak sam Wołodyjowski, nie mogłem przecież zabić własnego przodka.

Sytuacja pogarszała się z minuty na minutę. Mój krewki antenat nacierał coraz bardziej agresywnie, coraz szybciej wywijał szablą, wykonując dla zmyłki skomplikowane esy- floresy, a ja tylko się zasłaniałem. Na razie, o dziwo, skutecznie, ale do licha, przecież w końcu musiałem popełnić jakiś błąd, tym bardziej, że mój przeciwnik co chwilę zaskakiwał nowym fortem. I tak było. Uderzył dołem. Kiedy się odsłoniłem odparowując cios, wykorzystał ten moment, stanął w strzemionach i jak błyskawica ciął od góry.

Dokładnie w tej samej chwili nasi sforsowali ostatnią zaporę i zaczęli wdzierać się do wnętrza pałacu. Od dzikiego wrzasku triumfu, chyba w Grocie zagrała krew, bo swoim przewrotnym zwyczajem stanął dęba i rżąc przeraźliwie zaczął walić na oślepy kopytami. Cios, który miał spaść na moją głowę, mocno osłabiony, wylądował na jego karku.

Rana, chociaż płytka, musiała być bolesna, bo Grot oszalał. Z wściekłością rozpoczął swoje zwariowane skoki wierzgając to przednimi, to tylnymi nogami. Koń mojego przodka, w odruchu obronnym, również zaczął stawać dęba, rzeć i kopać. Na moment musieliśmy przerwać walkę, całą uwagę skupiając na tym by utrzymać się w siodłach. Upadek na ziemię, szczególnie dla mnie, oznaczałby koniec.

Na podwórzec wtargnęła następna fala atakujących i zepchnęła nas na płonącą ścianę. Żar był tak wielki, że nam zaczynały się tlić włosy, a koniom grzywy i ogony, ale mój zajadły rywal ani myślał o zaprzestaniu pojedynku. Wręcz przeciwnie. Wykorzystując swoją techniczną przewagę, z premedytacją wpychał mnie w szalejący ogień.

- Albo cię posiekam, albo upiekę jak kapłona psubracie jeden! – Pokrzykiwał ze złym blaskiem w oczach niespodziewanie przechodząc na „ty”.

- Jesteś głupim palantem, patentowanym kretyńcem, skończonym idiotą... – krewny bo krewny, ale miałem go już powyżej dziurek w nosie. Mówią, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciu, i coś w tym musi być.

- W języku żeś mocniejszy niż w szabli, ale wnet przytnę ci ów ozór przebrzydły razem z głową.

- Ty za to tylko w szabli jesteś mocny, bo rozumu u ciebie ani tyle, co kot napłakał – odgryzłem się.

Grot przypiekany już boleśnie w zad, bez możliwości cofnięcia się przynajmniej pół kroku w tył, rozumiał, że zagłada nam w oczy śmierć. Ale nie myślał kapitulować. Z determinacją natarł kopytami. Tamten koń ugodzony między oczy, szarpnął się przysiadając na tylnych nogach. Grot „poszedł za ciosem”, złapał mojego przodka zębami za ramię i zrzucił z siodła. Droga ucieczki stanęła przed nami otworem. Odjeżdżając obejrzałem się jeszcze. Adam podniósł się z ziemi i pobiegł za swoim koniem, który uciekał w przeciwną stronę, niż my.

Kiedy Grot się uspokoił, wyruszyłem na poszukiwanie chłopaków. Musieliśmy wracać do Rzeszowa, zabrać dziewczęta i uciekać. Wszystko jedno gdzie, byle dalej od pana Ligęzy i jego zamku.

Najpierw natknąłem się na Michała, który w dalszym ciągu kręcił się za murami pałacu.

- O rany Julek, jak ty wyglądasz! – zawołał na mój widok.

- Katastrofa, natknąłem się na prawdziwego Nowosielskiego, jeśli się szybko nie zmyjemy, będzie źle. Widziałeś Wojtka i Maćka?

- Są gdzieś w środku.

- Pomóż mi ich szukać.

- Może poczekamy, aż ta awantura się skończy? – zaproponował niepewnie.

- To się nie skończy aż do rana – stwierdziłem mając za przykład zdobycie Łańcuta. Michał, chociaż niechętnie, ruszył za mną. Objechaliśmy dookoła dziedziniec, na które wylegali już pierwsi zdobywcy wynosząc z pałacu łupy. Wojtka i Maćka nie było. Zostawiliśmy konie i weszliśmy do wnętrza pałacu. Tutaj pomimo potwornego gorąca, było gwarno jak w ulu. Nie bacząc na wielką ilość rannych i zabitych, jedni rozbijali szafy i skrzynie, szukając kosztowności, inni wyrzucali przez okna wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, jeszcze inni biegali w poszukiwaniu mocniejszych trunków i nie wiadomo czego jeszcze. Tu i ówdzie walczone jeszcze zażarcie.

Michał wyglądał na wstrząśniętego. Był blady jak ściana.

- Czy dobrze się czujesz? – spytałem na wszelki wypadek.

- Adaś, nigdy o tym nie mówiłem, ale na widok krwi, robi mi się słabo.

Rzeczywiście, widoku krwi tutaj nie brakowało. Nie trzeba było być bardzo wrażliwym, aby dostać mdłości.

Kazałem mu wrócić na dziedziniec, pozbierać nasze konie i czekać na nas za bramą. Sam tymczasem, na wpół upieczony, modląc się aby nie spotkać swojego przodka, biegałem po pałacu. Znalazłem ich w płonącej już bibliotece. Maciek miał jakąś szmatą obwiązaną głowę, a Wojtek nadpalony rękaw. Próbowali wynieść olbrzymi globus, który co prawda niezbyt wiernie odtwarzał świat, ale za to był pokryty przepięknymi ilustracjami.

- Nie możemy pozwolić, aby sfajczyło się takie cacko – powiedzieli usprawiedliwiająco.

- Musimy natychmiast uciekać. Spotkałem prawdziwego Adama Nowosielskiego.

- No to co?

- Uznał mnie za oszusta i próbował nawet zabić.
- Skąd wiedział, że podajesz się za niego?
- Od Kołgana.

Spadła płonąca belka stropowa odsłaniając widok na objęty ogniem dach, który lada moment też mógł runąć i pogrzebać nas żywcem. Nie było co zwlekać. Rzuciliśmy się ku wyjściu i wybiegliśmy z pałacu.

Tymczasem na dziedziniec wytoczono ze spichrzów beczki z winem i w radosnym nastroju, pijąc, strzelając na wiwat i wznosząc dzikie okrzyki, w świetle pożaru i dogasającego dnia, świętowano zwycięstwo. Na szczęście w zasięgu wzroku nie było ani mojego przodka, ani Kołgana ani Wolskiego. Bez przeszkód wyszliśmy za bramę, gdzie czekał na nas Michał z końmi. Ruszyliśmy na Rzeszów.

UCIECZKA

Kiedy dojeżdżaliśmy do celu, była już ciemna noc i zamek pogrążony był we śnie. Nasze niespodziewane przybycie nie zdziwiło trzymających wartę strażników, więc nie mieliśmy żadnych kłopotów, z dostaniem się do środka.

- Czy budzić pana? – dowódca straży przekonany, że przywieźliśmy jakąś ważną wiadomość.

- Nie ma potrzeby. Rano powiesz mu, że Wojutycze zdobyte.

Obudziliśmy dziewczęta i zebraliśmy się w mojej sypialni. Jeszcze raz, ze wszystkimi szczegółami, opowiedziałem o spotkaniu z Adamem Nowosielskim.

- Niestety, nie jest zbyt pokojowo do mnie nastawiony, a poza tym nie trafiają do niego żadne racjonalne argumenty¹⁰⁷ - podsumowałem.

- Myślisz, że tu przyjedzie? – zaniepokoiła się Marysia.

- Z całą pewnością i to już jutro, gdy tylko skończy się radość i fetowanie zwycięstwa. Musimy uciekać z zamku.

- Tylko gdzie? Jeżeli będą nas ścigać, nie ma dla nas bezpiecznego schronienia. Nikogo tutaj przecież nie znamy – stwierdził pesymistycznie Michał.

¹⁰⁷ Racjonalne argumenty – słuszne, uzasadnione twierdzenia, dowody.

Miał rację. Nasza sytuacja nie przedstawiała się zbyt optymistycznie. Najlepiej byłoby uruchomić mechanizm pozwalający na podróż w czasie, ale z tym akurat był największy problem. Zdawało się, że wypróbowaliśmy wszystkie możliwości i nic nowego nie przychodziło nam do głów. A przecież logika mówiła, że skoro puszka wahadła otworzyła się raz, to powinna otworzyć się i drugi.

- Więc co postanawiamy? – dociękał Wojtek.

- Do rana będziemy próbowali otworzyć puszkę. Jeśli nam się nie uda, zaraz, gdy tylko otworzą bramy, wymkniemy się z zamku i... pojedziemy do Goreczkowskiego – zaproponowała Ola.

- Po tym jak mu przywaliłaś w łeb, wątpię czy będzie chciał z tobą gadać – wyraził swoją opinię Michał.

- Jasne, że będzie chciał – zapewniłem go nie wyjaśniając skąd ta pewność. – Bierzmy się do roboty.

Wyjąłem zegar i położyłem go na łóżku. Zdawało mi się, że jestem intelektualnie wypalony na wiór. Żaden pomysł nie przychodził mi do głowy. Innym, jak widziałem, też nie. Siedzieliśmy na łóżku w milczeniu, zasłuchani we własne myśli i tykanie zegara. Sekunda po sekundzie zbliżał się świt, a wraz z nim katastrofa. Chociaż poparłem Olę, nie bardzo wierzyłem, że uda nam się dotrzeć do dworku Goreczkowskiego i to przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, mieliśmy za mało koni, po drugie będzie zbyt wielu ścigających. Chyba, że mój przodek zabawi dłużej pod Wojutyczami, a my zostaniemy koniokradami.

Pozostanie w gościnie u pana Ligęzy w ogóle nie wchodziło w rachubę. Raz-dwa z miłych gości stalibyśmy się w hochsztaplerami, oszustami i naciągaczami. Ciekawe, co wtedy zrobiłby pan Ligęza? Kazałby nas zamknąć w wieży? Oddać pod sąd? Jeżeli już pod sąd, to grodzki, czy inkwizycyjny? A może tylko wydałby Nowosielskiemu, albo Jabłonowskiemu? Jakkolwiek by nie postąpił, Marysia zapłakałaby się na śmierć.

- Tutaj musi mieć znaczenie jakaś wielkość fizyczna, której dotąd nie braliśmy pod uwagę – przerwała milczenie Ola.

- Zrobiliśmy przecież wszystko dokładnie tak samo – byłem zrezygnowany.

- Nie wszystko, musieliśmy coś pominąć.

- Może ten mechanizm otwiera się tylko raz? - Z pogodnego Michała wylazł czarny pesymista.

- Niemożliwe, Hieronim musiał używać go wiele razy - zaprzeczyła mu Ola.

- No właśnie, używał, używał aż wyczerpał jego możliwości. Nasz przypadek to ostatnie podrygi zdychającej ostrygi. Mówię wam, wyrzucicie tego grata przez okno. Zachciało nam się skarbów, a tymczasem wpadliśmy jak śliwki w kompot. Psiakość!

Zamknąłem oczy i wróciłem wspomnieniem do tego dnia, w którym udało mi się uruchomić zegar. Z fotograficzną dokładnością wyobraziłem sobie swój pokój i nas, skupionych dookoła biurka. Przypominałem sobie nasze słowa i gesty. „Może aby uruchomić mechanizm, trzeba powrócić w to samo miejsce, w którym zaczęliśmy się cofać?” - myślałem.

Z zewnątrz obiegł jakiś gwar. Coś mnie tknęło. Zdmuchnąłem świecę i wyjrzałem przez okno. W szarym świetle przedświt zobaczyłem powracającego ze swoimi ludźmi Wolskiego. Obok niego cwałował we własnej osobie Adam Nowosielski. No to stało się. Tego nie przewidzieliśmy, było już za późno na ucieczkę. Patrzyłem bezsilnie jak się zbliża ostatni akt tragedii.

- Przyjechał Wolski? - domyśliła się Ola.

- A z nim nasz szanowny przodek.

- Musimy go koniecznie zobaczyć - wszyscy zaczęli się tłoczyć do okna. - Który to?

- Ten z lewej na kasztance.

- Taki młody? - Marysia była rozczarowana. - Zawsze myślałam, że przodek to ktoś stary, jeszcze starszy niż nasz dziadziuś.

- Każdy stary, nawet najstarszy musi być najpierw młody - zauważyłem filozoficznie.

- Co robimy? Oni zaraz tu będą - zaniepokoił się Michał.

- Nie tak zaraz, najpierw zechcą porozmawiać z panem Ligęzą. Bez jego przyzwolenia nikt nas nie tknie - uspokoiłem go.

- No właśnie, a tymczasem przygotujmy pole do negocjacji¹⁰⁸ – ożywiła się Ola. – Najpierw się solidnie zabarykadujmy.

Było to jakieś rozwiązanie. Bez ociągania przysunęliśmy do drzwi gdańską szafę i moje wielkie dębowe łóże. Mogli nas teraz wziąć tylko głodem, a bez jedzenia można wytrzymać nawet miesiąc, o ile ma się wodę. A wody mieliśmy pełny dzban i miednicę.

Usiedliśmy na łóżku i nasłuchiwaliliśmy. Całonocna bezsenność dawała nam się mocno we znaki, więc postanowiliśmy się przespać. Było wiadomo, że i tak obudzi nas dobijanie się do drzwi. Zamknąłem oczy, ale sen nie nadchodził. W mojej głowie, jak na filmie, przesuwały się sceny z dnia, w którym uruchomiliśmy mechanizm zegara. Tak, jakby moja podświadomość chciała powiedzieć: „patrz i przypomnij sobie o czym zapomniałeś”, ale ja byłem jak ślepiec. Patrzyłem i nie widziałem Wreszcie zmorzył mnie sen. Przyśniło mi się dokładnie to, co przed snem chodziło po głowie: My dokoła biurka, a na biurku zegar Hieronima, tylko z tarczą wielką jak młyńskie koło.

Koło dziesiątej zapukał pan Kalisz.

- Macie natychmiast stanąć na posłuchanie u pana Ligęzy – zakomunikował, a oficjalny ton jego głosu nie wróżył niczego dobrego.

Pobudziliśmy się, lecz siedzieliśmy cicho jak trusie. Pan Kalisz próbował wejść, a natrafiwszy na opór drzwi, odszedł. Niewątpliwie, aby powiadomić o sytuacji pana Ligęzę. I wtedy, jak grom z jasnego nieba, przyszło na mnie olśnienie.

- Czas!!! – Krzyknąłem, aż wszyscy podskoczyli z wrażenia. - Nie uwzględniliśmy czasu, która była godzina, gdy zaczęliśmy się cofać?

- Koło szóstej – powiedział Maciek.

Tak, być może dłuższy promień stylizowanego słońca na cyferblacie, nie tylko wskazywał na wahadło, lecz i na sposób ustawienia wskazówek.

Drżącymi ze zdenerwowania rękami nastawiłem zegar na szóstą, potem wykonałem czynności, które przez ostanie noce powtarzałem setki razy. Wszyscy skupili się jak najbliżej mnie i wstrzymawszy oddech, w największym skupieniu obserwowali moje ruchy.

¹⁰⁸ Negocjacje – rokowania, prowadzenie układów, umawianie się.

Nagle trach! Wieczko odskoczyło odsłaniając mieniące się tęczowo galaretowate wnętrze. Usłyszałem zbiorowe westchnienie ulgi. Droga ucieczki stała przed nami otworem. Tylko od razu pojawił się następny problem: Co zrobić, aby się nie cofać, lecz przenieść w przyszłość?

- Najważniejsze, że w ogóle możemy stąd prysnąć. Teraz, gdy wiemy jak to uruchomić, możemy sobie eksperymentować do woli – Michał ze skrajnego pesymisty przeistoczył się w bezkrytycznego optymistę.

Znów rozległo się pukanie. Tym razem pukał pan Wolski.

- Panie Adamie, rozkazuję waćpanu natychmiast wyjść i rzecz załatwić honorowo, abym nie był przymuszony komnaty szturmem brać.

- Marysiu, w którym miejscu dotknęłaś tej galarety? – spytała Ola.

- Z samego brzeżku.

- Więc dotknij jeszcze raz, tylko na środku.

- Dobrze, ale gdyby coś nie wyszło, to żeby potem nie było na mnie.

- Nic się nie martw. Będzie dobrze.

- Panno Aleksandro, odwołuję się do twojego rozsądku. Obiecuję, że wezmę waćpannę w obronę – monitował dalej Wolski.

Polubiłem Wolskiego i było mi głupio, że uciekam jak tchórz. Ale co mu mogłem powiedzieć? Czy siedemnastowieczny człowiek zrozumiałby nasze argumenty? Hieronim Nowosielski żył ponad sto lat później, a przecież został uznany za czarownika i ponoć spalony na stosie. Gdyby to jeszcze chodziło o mnie, spróbowałbym zaryzykować i rozwiązać tą sprawę, jak tu mówią, honorowo, ale musiałem myśleć o bezpieczeństwie krewnych i przyjaciół. Trudno, może innym razem tu wrócę i wszystko wyjaśnię.

Marysia patrzyła na mnie pytająco. Skinąłem głową. Wyciągnęła nieśmiało palec, po czym musnęła sam środek puszeki wahadła. I zaczęło się.

Nikt pewnie nie widział, aby na powierzchni jakiegokolwiek cieczy, kuliste fale poruszały się od ścian ku centrum. Chyba że na filmie puszczone od tyłu. Tutaj tak się działo. Fale najpierw powstawały przy brzegu puszeki, potem coraz dalej poza puszką, a wszystkie biegnęły się ku jej środkowi i tam zniknęły.

Spojrzelismy w okno. Słońce pędziło po niebie z taką prędkością, że nie było ani jasno, ani ciemno, tylko szaro. Zdołaliśmy jednak z zadowoleniem zauważyć, że wschodzi na wschodzie a zachodzi na zachodzie. Posuwaliśmy się w dobrym kierunku. Zmieniał się również nasz pokój. Co chwilę coś znikало lub przybywało, ale nie to zaprzętało naszą uwagę. Zastanawialiśmy się kiedy stanąć, aby nie minąć naszej epoki.

- Według mnie cofaliśmy się około kwadransa – powiedziała Ola. - Minęło pięć, siedem minut zanim zaczął znikać dach, potem dwie minuty zbiegaliśmy po schodach i dziesięć minut kombinowaliśmy, jak się zatrzymać.

- Gdybyśmy byli w pokoju Adasia, poznalibyśmy po tapecie – westchnęła Marysia.

- Głupie dziewczynskie gadanie. Zapomniałaś, że w siedemnastym wieku nie było nawet Leśniówki, a co dopiero waszego domu i pokoju Adasia? – Niekonsekwencja Marysi rozśmieszyła Michała.

- Staniemy kiedykolwiek, zobaczymy gdzie jesteśmy i wtedy albo się cofniemy, albo pojedziemy dalej.

Tymczasem w pokoju pod prawą ścianą pojawiło się podwyższenie, na nim długi stół, za stołem trzy wysokie krzesła. Po przeciwnej stronie i po bokach ławki, a na środku półokrągła barierka. Prosta budowa mebli wskazywała, że dobrnęliśmy przynajmniej w okolice naszych czasów. Uznaliśmy, że pora zatrzaskać wieczko puszeki wahadła. Świat wokół nas znieruchomiał.

W siedemnastowiecznych strojach, wraz z gdańską szafą i wielkim jak ujeżdżalnia łóżem, znajdowaliśmy się na... sali sądowej. Za stołem w czarnych togach siedzieli sędziowie i ławnicy, obok protokolantka, pod oknem prokurator, po przeciwnej stronie adwokat, podsądny i policjanci, a w ławach świadkowie. Jeden z nich stał właśnie przed barierką.

Najwyraźniej nasze niespodziewane pojawienie sprawiło piorunujące wrażenie, bo wszyscy patrzyli na nas w niemym osłupieniu.

- Dzień dobry, przepraszam, jaki dziś jest dzień? – Jakby nigdy nic, rzuciła pytanie Ola.

- Piątek – odpowiedzieli machinalnie panowie w togach, policjanci, świadkowie a nawet oskarżony.

- Chodzi mi o datę.

- Piąty czerwca – dalej informowali chóralnie. Dałbym głowę, że tego dnia po raz pierwszy wszystkie strony miały to samo zdanie.

- A rok?

- 2000.

- Dziękuję państwu.

Udało się prawie dokładnie, byliśmy tylko dzień do przodu. Zeskoczyliśmy z łóżka i zaczęliśmy odsuwać szafę, żeby utorować sobie drogę do drzwi, zanim ktokolwiek otrząśnie się z osłupienia, i zacznie zadawać pytania.

- Chwileczkę, a wy tu w jakim charakterze? – Sędzia marszcząc groźnie brwi wycelował w nas oskarżająco palec.

- To przez pomyłkę, już sobie idziemy. Przepraszamy – tłumaczyła Ola, my tymczasem wolno przesuwaliśmy ciężką jak nieszczęście szafę.

- Nikt bez stosownego wezwania albo specjalnego zezwolenia, nie ma prawa przebywać na sali rozpraw – sędzia najwyraźniej na tyle doszedł do siebie, że już myślał paragrafami.

- To się więcej nie powtórzy – zapewniała go z miną niewiniątka Ola.

- Czy te przedmioty są dowodami w sprawie? Przypominam, że dowody należy przedkładać zgodnie z procedurą zawartą w paragrafie... – tu posypały się numery rozporządzeń Ministra Sprawiedliwości i jeszcze jakiegoś ważnego urzędu. Prokurator i adwokat kręcili przecząco głowami dając do zrozumienia, że nic na ten temat nie wiedzą.

- Nie, to nie są dowody w sprawie. To są meble muzealne.

- Tu nie jest muzeum! Tu jest wysoki sąd! Proszę te przedmioty natychmiast zabrać, bo ukarzę was grzywną za utrudnianie pracy sądowni.

- Dobrze, zaraz powiadomimy kogo trzeba.

Odsunęliśmy szafę na tyle, że mogliśmy się przecisnąć do drzwi, co też w wielkim pośpiechu uczyniliśmy. Wydostawszy się na długi korytarz, czym prędzej

opuściliśmy gmach sądu, który już niewiele przypominał zamek pana Spytka Ligęzy.

Nawiasem mówiąc następnego dnia, w codziennej gazecie, ukazał się artykuł pod wielkim tytułem:

NIEBYWAŁY ATAK NA NIEZAWISŁOŚĆ SĄDU

Wczoraj do Sądu Wojewódzkiego w Rzeszowie wtargnęła grupa przebranych osobników, którzy próbowali zabarykadować wyjście z sali, gdzie toczyła się rozprawa przeciwko groźnemu przestępcy Z.K., zwanemu Krzywą Główką. Dzięki zdecydowanej postawie sędziego J.M. terroryści odstąpili od swoich niecznych zamiarów. Sprawę wyjaśniają funkcjonariusze policji.

Ani słowa o autentycznych antykach podarowanych muzeum. Zresztą, to było następnego dnia. Na razie wystrojeni jak na bal przebierańców, zastanawialiśmy się, co dalej. Byliśmy bez pieniędzy, a do domu było daleko.

- Możemy pójść do wujka Romana. Z pewnością pożyczą nam na bilety - powiedziała Marysia.

- Nie mam ochoty spotykać się z Mareczkiem - stwierdziłem stanowczo.

- Ani ja - dodała Ola. - Możemy pojechać autostopem.

- Do licha, mogliśmy się przynajmniej przebrać - ocknął się poniewczasie Maciek.

- Przecież wybieraliśmy się do Łobozwi, a nie do dwudziestego wieku - wzruszyłem ramionami, bo ten problem wydawał mi się akurat najmniej ważny.

- No to co? Nasze ubrania były w szafie.

- To teraz sobie o tym przypomniałeś?

- A niby dlaczego akurat ja miałem o tym pamiętać. Dalej uważasz, że jestem twoim lokajem?

Zanosilo się na kłótnię, i to jak zwykle z powodu najbliższego powodu pod słońcem.

- Daj spokój, wszystko działo się tak szybko, że nie miałem głowy do takich drobiazków. Zresztą, gdybyśmy zaczęli jeszcze przebierać się na oczach sądu, dołożyłby nam grzywnę za obrazę jego powagi.

- Może to i lepiej. Będziemy udawali aktorów, którzy nie zdążyli na teatralny autobus. Wierzę, że w końcu znajdzie się jakiś uprzejmy kierowca, który podwiezie

nas za darmo – Ola jak zwykle rzecz potraktowała z właściwą sobie wiarą w łut szczęścia.

- Może pójdziemy do muzeum i od nich poprosimy pieniądze na drogę. W końcu prawdziwa gdańska szafa i dębowe łóżce z baldachimem warte są chyba ceny pięciu biletów do Brzozowa – próbowała znaleźć korzystniejsze wyjście Marysia. Zdaje się, że moja siostra wyrośnie na niezłą kobietę interesu.

- To nie wchodzi w rachubę. Wyobrażasz sobie, że wejdziemy do gabinetu dyrektora i powiemy: Proszę pana, w sądzie są do odebrania antyki, a póki co proszę nam, ofiarodawcom, zafundować bilet do domu? Przecież dyrektor pękłby ze śmiechu, o ile wcześniej nie uznałby nas za pomyleńców – zaprotestował Michał. – Najlepszy będzie auto-stop.

Wyszliśmy na szosę i już po piętnastu minutach jechaliśmy furgonetką do domu. Nareszcie.

EPILOG

Po tych wszystkich przygodach nie mam już ochoty pisać, jak przywitała nas rodzina i jakie ponieśliśmy konsekwencje. Bądź co bądź, dla rodziców znikliśmy bez śladu prawie na dwa dni. Na szczęście Jurek znalazł się poza zasięgiem zegara i stawał na głowie, aby jakoś nas usprawiedliwić. Niewiele to dało, bo nic sensownego nie mógł przecież wymyślić, tym bardziej, że razem z nami znikło również moje biurko.

W końcu wyszło, że nie tylko siedemnastowiecznym ludziom nie dało się pewnych spraw wytłumaczyć, z dwudziestowiecznymi było jeszcze gorzej. No, chyba, że zdradzilibyśmy tajemnicę zegara Hieronima. A tego nie chcieliśmy. Zgodnie więc udawaliśmy, że ogarnęła nas zbiorowa amnezja¹⁰⁹ i nic nie pamiętamy. Rodzice, rzecz jasna nie dali temu wiary, ale cóż, nie pozwoliliśmy sobie wydrzeć prawdy.

¹⁰⁹ Amnezja – utrata pamięci.

Po kilku dniach napisaliśmy list do dyrektora muzeum w Łańcucie, że prosimy, aby dołączył do muzealnych zbiorów szafę i łoże, które należało kiedyś do Spytka Ligęzy, lecz jako ofiarodawcy chcemy pozostać anonimowi. Kiedy później zwiedzałem łańcucki zamek spytałem o te meble. Usłyszałem, że ktoś je podarował muzeum jako antyki, lecz eksperci stwierdzili, że jest to tylko doskonała replika. Po prostu drzewo, z którego je wykonano ścięto zaledwie kilka lat wcześniej. Eksperci, to eksperci. Trudno.

Próbowaliśmy znaleźć jakieś ślady na temat dalszych losów ludzi, z którymi się zetknęliśmy. Diabeł Łańcucki zginął 20 sierpnia 1610 roku z rąk Macedońskiego, zwanego Persa Tatarzynem. Macedoński dopadł go w lesie pod Tarnawą i wypalił mu z półhaka prosto w pierś. Powaliło to Diabła na ziemię, ale zerwał się do rozpaczliwej obrony, a bronił się rozpaczliwie, skoro oprócz postrzału, miał jeszcze dziesięć ran od pchnięć i ciosów.

Również Jakub Jabłonowski jeszcze w tym samym roku, za jakiś wyjątkowo szkaradny czyn został w Haliczu pojmany i natychmiast ścięty. Nie jestem tylko pewny, czy to ten sam Jabłonowski, który mi się odgrażał.

Pan Ligęza dożył stu lat z okładem. Przeżył pięciu królów, a pod szóstym, Władysławem IV żył jeszcze pięć lat. Był w tak doskonałej formie, że jako osiemdziesięciolatek ożenił się po raz trzeci z całkiem młodą kobietą. W historii zapisał się jako światły pan, dobry gospodarz i wielki filantrop. Pudencjana wyszła za mąż za księcia Dominika Ostrogskiego, a Konstancja za Jerzego Lubomirskiego, starostę sądeckiego.

Księżna Anna Ostrogska, nie zaznała spokoju po śmierci Diabła. Nadal musiała walczyć z jego żoną, prawdziwą diabolicą, a potem potomkami tej demonicznej pary, zwanych zasłużenie Diablętami.

Niewiele znaleźliśmy na temat pana Wolskiego, a jeszcze mniej o Napierskim, Goreczkowski i naszym antenacie Adamie Nowosielskim. Zaledwie tu i ówdzie, w jakichś starych aktach sądowych i szczegółowych opracowaniach historycznych przewijają się ich nazwiska. Nigdzie nie spotkałem nawet wzmianki o Helence Opalińskiej ani Kołganie.

Pewnie ciekawi was co dalej z zegarem? W porządku. Wisi w moim pokoju i, jak od stuleci, odmierza czas.

Nie myślcie, że zrezygnowaliśmy z podróży w czasie. Co to, to nie. Nadal nie rozwiązaliśmy tajemnicy Hieronima Nowosielskiego. Nie wiemy dlaczego dysponując możliwością podróży w czasie, spisał tak dziwny testament. Dlaczego jego portret wraz z obrazem miał być przekazywany z pokolenia na pokolenie, aż do skończenia świata?

Wojtek i Michał planują wycieczki po najciekawszych epokach, Ola i Maciek chcieliby wyjaśnić największe zagadki archeologiczne. Marysia woli trzymać się domu i naszych czasów, Jurek jest zły, że się z nami nie załapał i przeniósłby się byle gdzie, byle tylko przeżyć podobną przygodę.

Będąc prawnym właścicielem zegara uznałem, że do następnej podróży musimy się przygotować z głową. Ufam wszystkim członkom Związku Poszukiwaczy Skarbów, lecz na wszelki wypadek, aby nikomu nie strzelił do głowy pomysł, by na własną rękę, na przykład skoczyć w przyszłość po najbliższe numery totolotka, wyjąłem i ukryłem wahadło. W jego miejsce stary zegarmistrz z Dukli założył oryginalne, osiemnastowieczne.

Kto wie, może kiedyś jeszcze opiszę którąś z naszych podróży?

K O N I E C